Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 178 (Rok XI, Nr 12) 15 czerwca 1951 Cena (Price) 1/6

ZNIENAWIDZENI BO NIEBEZPIECZNI

W PAŃSTWIE sowieckiego absurdu wszystko ma swój rzekomo wyrozumowany początek. Kiedy rozum dyktuje trzeba płakać, śmiać się, oburzać, cieszyć się i nienawidzieć. Na każdą okoliczność istnieje wypróbowany zespół speców. Nie ma na świecie większego zespołu do siania nienawiści niż w ustroju komunistycznym. Goebbels ze swym sztabem propagandy to cień cienia w porównaniu z armią komunistycznych żołnierzy nienawiści. Wystarczy przejrzeć prasę jakiegokolwiek odcienia od tzw. naukowej do tzw. humorystycznej, żeby nałykać się takiego piekielnego zgrzytu, jadu, urągowiska, szyderstw i kłamstw przeróżnych, że na prawdę trzeba na to albo olimpijskiego spokoju, albo własnego cynizmu. Nienawiść przelewa się przez brzegi. W rysunku np. karykatura przeciwników komunizmu doprowadzona jest do absurdu. Papież w tiarze depcze po trupach mordowanych dzieci, błogosławiąc jednocześnie otyłych morderców; ma zaś twarz, wobec której wszystkie pomysły charakteryzacji typów kryminalnych są dziecinną zabawką. Zachodni mężowie stanu na tych rysuneczkach wyglądają tak, żeby dziecko zaskoczone nagle obrazkiem dostało spazmów strachu. Rysunki wyją tiuremną nienawiścią niewolnika do wszystkiego, co jeszcze chodzi swobodnie po świecie.

Wiersz, poezja w takim wydaniu posiadać ma również wszystkie cechy opisanego powyżej rysunku. Ma czytelnika trzymać w napięciu uczuć nienawistnych, a jednocześnie — ponieważ poezja była kiedyś środkiem budzenia uczuć harmonijnych, estetycznych, łagodnych — mają wiersze kierować resztki ludzkiej potrzeby piękna i harmonii tam, gdzie te czynniki stale przebywają: na Kreml, do Moskwy. I dlatego w ponurym obrazie nienawistnego podekscytowania, zjawia się zawsze jedna słoneczna plama: Stalin. Oto nadworny rybałt Broniewski pisze w wierszu „Nadzieja":

„Pięknie jest myśleć, że w Moskwie
żyje Stalin.
Pięknie jest myśleć, że w Moskwie
myśli Stalin".

Kiedy czyta się podobne bzdury, napisane niezdarnie, zapewne po dziesiątej wódce (żeby się odczepili i zapłacili) — mimo woli przypominają się zachwyty naszych literackich pięknoduchów: „Drań to drań, ale co za poeta!" I rzeczywiście.

Ostatnio polityka „nienawiściowa" (żeby użyć ulubionej komunistycznej metody zniekształcania języka polskiego) jest prowadzona w Polsce przeciwko zbankrutowanym emigrantom, raz zdychającym z głodu, drugi raz żyjącym z ochłapów „Assistance Board", innym znów razem sprzedającym się za grube dolary na służbę szpiegowsko-imperialistyczną. Motyw emigracyjny w wystąpieniach czerwonych rycerzy pióra jest stały i powtarza się zarówno w czasie jak i przestrzeni; pamflety naszpikowane fantastycznymi kłamstwami drukują czołowe pisma reżimu, a za nimi — znów mówiąc żargonem bierutowym — „rozpracowują" temat pomniejsze pisemka prowincjonalne czy też przeznaczone na pewien zasięg czytelników, jak np. na najmłodszą dziatwę.

Propagada ta nie pozostawia żadnych złudzeń co do polityki sowieckiej wobec Polaków. Motyw antyreligijny, tak dotychczas maskowany rzekomym poszanowaniem wiary i rzekomą tendencją „ułożenia się między Kościołem i państwem" — zostaje zdystansowany przez politykę nieustannego szczucia, przy czym głowa Kościoła obdzierana jest nie tylko z jakiejkolwiek świątobliwości, lecz wręcz z człowieczeństwa. Jednocześnie z tym nakazuje się przeróżnym zespołom pod firmą katolicką popierać sowiecką i komunistyczną politykę „walki o pokój", o „pax sovietica", lub raczej — jak to coraz częściej zjawia się na transparentach — o sowiecki m i r. Niestety, w zespołach tych figurują nazwiska ludzi, którzy z a ż a d n ą c e n ę nie powinni się byli tam znaleźć. Jakiekolwiek mogą być podziały świata w obecnym konflikcie czy nawet konfliktach przyszłych — pewne jest, że bolszewizm reprezentuje sobą element szatański, żyjący i karmiący się nieustannie podniecaną nienawiścią. Opowiadanie się po tej stronie walki, popieranie takich szermierzy i takiego gatunku pokoju byłoby zaiste śmiertelnym nieporozumieniem. Na szczęście, jeśli przeglądamy nazwiska różnych zespołów firmujących sowiecki szał „pokojowy", stwierdzamy, że od lat kilku występują ci sami zastraszeni czy otumanieni ludzie. Zaraza nie objęła dotychczas szerszych kręgów narodu.

Gdy chodzi o motyw dzielenia społeczeństwa na klasy: postępowe i reakcyjne, kułackie i biedniackie, patriotyczne i agenturalne — na miejsce naczelne wrócił znów porzucony na pewien okres czasu temat „zdradzieckiej kliki emigracyjnej".

WYKORZYSTANA CISZA

Do serii niewybaczalnych błędów Zachodu po okresie jałtańskim należą pożałowania godne starania od cięcia wolnej części podbitych narodów za żelazną kurtyną od ich pnia krajowego. Żelazna kurtyna, jak już na tym miejscu niejednokrotnie pisaliśmy nie jest tylko dziełem Sowietów. Do jej ustawienia i u t r z y-

mania przyczyniły się także rządy mocarstw zachodnich. Nie umożliwiano przedstawicielom emigracji bezpośredniego wyjaśniania swym społeczeństwom w kraju ich stanowiska wobec bardziej żywotnych spraw. Kierownictwa programów radiowych Ameryki czy Wielkiej Brytanii kierowanych do Polski wzdragały się przed wprowadzeniem rubryki tak bardzo oczywistej, gdy chodzi o powiadamianie narodów za żelazną kurtyną o stanie ich wolnej opinii za granicą — przeglądu prasy. Ostatnio dopiero radio Wolnej Europy wprowadziło przeglądy prasy emigracyjnej, pozwalając społeczeństwu w kraju śledzić kształtowanie się wolnej opinii. Cisza trwająca tak długo została jednak w pełni wykorzystana przez politykę sowiecką.

Pisma sowieckie w języku polskim bynajmniej nie milczały na ten temat. Powykrawały z opinii emigracyjnej takie karykatury i dziwolągi, że gdyby się naprawdę w Polsce na tym źródle opierano, ręce opadłyby ludziom z rezygnacją. Do beznadziejności sytuacji w kraju, dołączyłby się obraz głupoty, bezmyślności i zdrady narodowej polskich ośrodków emigracyjnych.

Prasa sowiecka w Polsce wykorzystuje każde tutejsze słowo nieodpowiedzialne, nie mające pokrycia, powiedziane dlatego, że ślina na język przyniosła, dla popisu stylistycznego, dla dodania sobie ważności, dla ukłucia przeciwnika z innego obozu politycznego w najczulsze miejsce. Wykorzystano swoistą bezmyślność podejrzanych „schöngeistów", głoszących niemniej podejrzane slogany o przyszłym wieku złotym bez granic, bez zaściankowych konfliktów, z jednym światowym rządem itp. Wiemy tutaj dobrze jak nic wspólnego nie mają one z polską myślą polityczną. Tam jednak — w propagandzie sowieckiej po polsku — urastają do reprezentatywnych wypowiedzi „ogłupiałej i sprzedajnej emigracji". Nie ma oczywiście słowa o tutejszym stanie prawdziwej opinii politycznej, o nieefektownej, choć nieustannej pracy i zabiegach nad postawieniem sprawy polskiej w odpowiedniej postaci i na odpowiednim miejscu.

Łatwej i jarmarcznej polemice z wypowiedziami niepoważnymi, towarzyszy w kraju kłamliwa, pokracznie wykrzywiona „polemika" z ośrodkami politycznymi i ideowymi, w której naczelną nutą i tezą do udowodnienia jest: sprzedali się i zdradzili wszyscy bez wyjątku, nie macie przywódców innych jak w KC PZPR czy WKP (b). Oczerniane są równomiernie wszystkie ważniejsze ośrodki polityczne mające jakiekolwiek istotne znaczenie dla kształtowania się sprawy polskiej w wolnym świecie. Tam, w laboratoriach nieprzyjaciela, dokonana została swoista konsolidacja polityczna w myśl sowieckiej zasady równania w dół. Na dno obelg i zaplucia ściągnięto narodowców, socjalistów, piłsudczyków, spreparowano ich wypowiedzi tak, jak wypowiedzi oskarżonych czy świadków na pokazowych procesach. Z „Myśli Polskiej", „Robotnika Polskiego" czy „Orła Białego", płyną zniekształcone nożycami redaktorów sowieckich samooskarżenia: jesteśmy zdrajcy, sprzedajemy ziemie zachodnie, marzyliśmy o współdziałaniu z Hitlerem w tworzeniu rządów quislingowskich. Żadna najbardziej głupia obelga nie jest do pogardzenia. W „Trybunie Ludu" (16. 5. 1951) propagandzista sowiecki, niejaki Brodzki, pisze: „organ endecji „Myśl Polska" precyzuje, że odbudowa Polski nastąpić może (tu następuje rzekomy cytat z naszego pisma) „jedynie z pomocą zagranicznych kapitałów". Nie wiemy co prawda gdzie ten urywek, ta ćwierć zdania została napisana, skąd wycięta i podana obywatelowi Brodzkiemu, pewne jest, że oburzać się na nią mogą tylko ludzie wynajęci do pisania usprawiedliwień i pochwał dla sowieckiej polityki eksploatacji Polski, drenowania jej sił gospodarczych i biologicznych.

Nie podobna streszczać wszystkich kłamstw sowieckich. Nie skąpią nam epitetów właściwych stylowi kremlińskiemu. „Bombą i sztyletem po Szczecin i Wrocław", „Lizybuty Guderiana", „Od marek do dolarów", „Z Adenauerem nach Osten" — oto skromna dawka podtytułów z jednego tylko artykułu.

Być może, że wielu Polaków na emigracji przeczyta te uwagi z pewnym zadowoleniem. Nie ma nic dziwnego, że wróg, śmiertelny wróg Polski, wykorzystuje sytuację, w której głos polski nie dociera tak, jak by mógł docierać do kraju. Skoro się nami tak gorliwie zajmują, pewnie ich to boli. Oczywiście. I to też. Jedynym wszakże praktycznym wnioskiem dla nas tutaj jest rzetelny wysiłek informacyjny na kraj. Inne wnioski, natury pochodnej, wiążą się z całością naszych stosunków wewnętrznych na emigracji. Popisy oratorskie czy stylistyczne, recytacja cudzych frazesów, silenie się na oryginalność — a wreszcie podział na kilka ośrodków politycznej decyzji, to luksus, na który może stać nas tutaj, na emigracji, na który jednak na pewno nie stać nas w kraju.

A wracając do przytoczonych przykładów nienawiści wobec Polaków i polityki polskiej, przykładów złorzeczeń i kłamstw dokonywanych przez najróżniejszych Brodzkich, trzeba będzie w swoim czasie wyraźnie pod ich adresem powiedzieć tak, jak mówiono twórcy „Goralenvolku" Krzeptowskiemu podczas ostatniej wojny: „Bees wisioł, hyclu".

PREZES BIELECKI NA KONTYNENCIE

W czasie pobytu swego w Strassburgu prezes T. Bielecki odbył szereg rozmów na temat położenia międzynarodowego i sprawy polskiej z delegatami państw reprezentowanych w Radzie Europejskiej. Z problemów szczegółowych prez. Bielecki przedłożył memoriał Związku b. więźniów obozów koncentracyjnych niemieckich w sprawie należnych im odszkodowań. Memoriał ten został złożony przewodniczącemu Zgromadzenia Europejskiego p. Spaakowi, sekretarzowi generalnemu Rady Europejskiej p. Parisowi i delegatom poszczególnych krajów, w szczególności Francji, Belgii, Holandii, Szwecji, Danii, Turcji i Grecji. Sprawą tą, jak z przeprowadzonych rozmów wynika, zajmuje się komisja specjalna Zgromadzenia Europejskiego powołana dla czuwania nad interesami krajów niereprezentowanych w Radzie Europy.

Ze Strassburga udał się prez. Bielecki do Niemiec, ażeby zapoznać się osobiście z położeniem Polaków w Niemczech i z problemem polskim na tle polityki Niemiec zachodnich. W związku z tym prez. Bielecki złożył wizyty Wysokim Komisarzom mocarstw okupacyjnych: Sir Ivone Kirkpatrickowi, p. John J. McCloyowi i zastępcy Wysokiego Komisarza francuskiego p. A. Berardowi w ich siedzibach pod Bonn. W rozmowach tych prez. Bielecki poruszył zagadnienia polityki międzynarodowej i przedstawił polski punkt widzenia na stosunki polsko-niemieckie. Wizyta prez. Bieleckiego przypadła w okresie debaty w parlamencie federalnym na temat statutu Saary i związanych z tym roszczeń terytorialnych niemieckich. W czasie tej debaty kilku mówców poruszyło kwestię granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie.

W czasie swojego pobytu w Niemczech prez. Bielecki odbył rozmowy z przedstawicielami polskiego życia społecznego i zetknął się bezpośrednio z ośrodkami ludności polskiej. Zapytany przez przedstawiciela naszego pisma o los Polaków w Niemczech prez. Bielecki powiedział:

Jest to sprawa wymagająca stałej troski ze strony czynników polskich, gdyż położenie naszych rodaków w Niemczech jest niezwykle trudne. Zależą oni prawie wyłącznie od władz niemieckich. Nie potrzebuję dodawać, że Niemcy nie będą otaczać należytą opieką uchodźców polskich. Jest ich obecnie w Niemczech przeszło 40.000, a pozostanie z nich około 30.000 bez możliwości emigrowania. Obowiązkiem wszystkich Polaków jest przyjść z pomocą moralną i materialną rodakom naszym w Niemczech, których położenie jest nieraz wręcz tragiczne. Musimy okazać — stwierdził z naciskiem prez. Bielecki — więcej realnej troski i rzeczywistej pomocy Polakom w Niemczech.

W drodze powrotnej prez. Bielecki zatrzymał się na kilka dni w Paryżu, gdzie przeprowadził rozmowy w kołach politycznych francuskich i amerykańskich.

LIST KARD. GRIFFINA

Jednym z najznamienniejszych przejawów kryzysu, jaki przeżywa nasza cywilizacja, jest obojętność, z jaką

Zachód przyjął ujarzmienie związanych z nim od tylu stuleci narodów Europy środkowo-wschodniej przez komunistyczną tyranię Moskwy.

Nie jest to jednak, na szczęście, postawa powszechna. Są i na Zachodzie ludzie, którzy nie godzą się z cofnięciem granic naszej cywilizacji na linię Lubeka-Triest. Nie zamarła też jeszcze całkiem wrażliwość na gwałcenie podstawowych praw człowieczeństwa, gdziekolwiek by to zachodziło.

Świadczy o tym, między innymi wypowiedziami Kościoła Katolickiego, ostatni list pasterski arcybiskupa Westminsteru kardynała Griffina, poświęcony prześladowaniom religijnym w krajach za żelazną kurtyną. Na pochwałę katolików brytyjskich powiedzieć trzeba, że nie dadzą się oni nikomu wyprzedzić w żarliwym manifestowaniu swej łączności duchowej z tą właśnie, wciąż zagrożoną przez najazdy wrogów chrześcijaństwa od wschodu i zachodu, częścią Europy. Idą po drodze wytyczonej przez dwóch wielkich, a nieżyjących już przyjaciół Polski: G. K. Chestertona i kardynała Hinsleya.

„Od końca wojny — mówi kardynał Griffin — przeszło 200 księży w tych krajach poniosło śmierć przez egzekucję, a 1.700 skazanych zostało na więzienie... Powiedzą nam, że nie jest dobrą polityką mieszać się w wewnętrzne sprawy innych narodów. My jednak odpowiemy, że troszczymy się o podstawowe prawa jednostki ludzkiej, że zdjęci jesteśmy troską z powodu negowania praw, zagwarantowanych przez Kartę Narodów Zjednoczonych, że zdjęci jesteśmy w wielu wypadkach troską z powodu odmawiania wolności kultu religijnego, zagwarantowanej przez traktaty pokojowe.

„Niekiedy wysiłki nasze mogą nam się wydawać daremne, powinniśmy w nich jednak wytrwać choćby po to tylko, by pokazać gnębicielom, że nie zapomnieliśmy mężczyzn i kobiet zamkniętych w ich więzieniach.

„Musimy uczynić swym obowiązkiem staranie się o to, by nasi bracia uwięzieni za żelazną kurtyną nie przeszli do krainy ludzi zapomnianych."

Kardynał Griffin mówi tu o obowiązku religijnym i moralnym. Toczące się dzisiaj wydarzenia wykazują i niewątpliwie wykazywać będą z coraz większą wyrazistością, że także w interesie Zachodu, jak najbardziej „realistycznie" pojętym, jest nie dopuścić do tego, by Europa środkowo-wschodnia stała się „krainą ludzi zapomnianych" i ostatecznie porzuconych.

SIŁA KOMUNIZMU WE WŁOSZECH

W wyborach samorządowych we Włoszech północnych rząd Gasperiego osiągnął w znacznej mierze swój cel, jakim było utrącenie większości, posiadanej przez komunistów od r. 1946 w licznych radach miejskich i prowincjonalnych tej części kraju. W Genui, Wenecji, Weronie, Padwie, Pawii, Rawennie, Ankonie, Como, Nowarze i innych miastach władza przeszła z rąk komunistycznych w ręce Chrześcijańskiej Demokracji i jej sprzymierzeńców. Spośród większych ośrodków komuniści zachowali większość tylko w Bolonii oraz w portach Savona i Pesaro. Na 29 rad prowincjonalnych Chrześcijańska Demokracja zwyciężyła w 22, a komuniści zatrzymali większość tylko w 5.

Są to niewątpliwie fakty pocieszające, ale znaczenia ich nie należy przeceniać. Wpływy komunistyczne osiągnęły w wyborach samorządowych r. 1946 swój punkt szczytowy, — później wskutek ocknięcia się i kontrofensywy przeciwników czerwonej dyktatury poczęły się nieco cofać. Wybory parlamentarne r. 1948 przyniosły bezwzględną większość mandatów jednemu stronnictwu: Chrześcijańskiej Demokracji; obawa przed wzbierającą falą komunistyczną była główną przyczyną tej niezwykłej, jak na stosunki włoskie (czy francuskie), konsolidacji społeczeństwa. Widoczne było jednak od razu, że kręgosłup komunizmu złamany nie został. Istotnie też komuniści zdołali znowu powiększyć w obecnych wyborach odsetek głosów, które padły na ich listy. W wyborach do rad prowincjonalnych we Włoszech północnych zdobyli oni 1.855.323, tj. 22 % (dokładnie 21,9%) wszystkich głosów, do czego doliczyć jeszcze należy 1.131.871 głosów (13,4%), które padły na listy sprzymierzonej z komunistami partii socjalistycznej Nenniego. Daje to razem 45.3% wszystkich głosów, podczas gdy chrześcijańscy demokraci wraz ze sprzymierzonymi uzyskali 41.1%, a tzw. Włoski Ruch Społeczny (neofaszyści) około 4%.

Nie jest to wynik wesoły, zwłaszcza gdy się uwzględni, że komuniści są grupą najbardziej zwartą i dynamiczną, opartą głównie o żywioły młodsze. Biorąc to pod uwagę, ich faktyczna siła we Włoszech północnych wyraża się na pewno odsetkiem znacznie większym niż 22%, cóż dopiero gdy dołączymy do tego ich sprzymierzeńców, socjalistów Nenniego.

Taką to piątą kolumną dysponuje czerwona Moskwa w kraju, który jest kolebką naszej cywilizacji. Przyczyny tego utwierdzenia się komunistów we Włoszech są różne, za główną jednak uważać należy nędzę, a w każdym razie niski standard życiowy wśród znacznej części ludności. Stwarza to we Włoszech — i nie tylko we Włoszech — kontrasty, jakich w Anglii się prawie nie spotyka; wystarczy przejechać na drugą stronę Kanału, by zaobserwować ich istnienie już we Francji, choć oczywiście na mniejszą skalę niż na Półwyspie Apenińskim.

Poza tym komunizm daje młodym, aktywnym elementom nie tylko wizję „sprawy", o którą należy walczyć, ale i odpowiadające dużej części młodzieży formy i atmosferę organizacyjną. Talent Gasperiego, łącznie ze wzmożoną działalnością kół katolickich, zdołały w sporej mierze „zdynamizować" Chrześcijańską Demokrację. Trudno jednak powiedzieć, czy stronnictwo to złożone z żywiołów bardzo różnorodnych i niezharmonizowanych, zdoła się długo utrzymać w swej dotychczasowej postaci, zwłaszcza gdyby Gasperiego nie stało. Podobnie trudno ocenić szanse rozwoju ruchu neofaszystowskiego. Chlubi się on pewnymi sukcesami, osiągniętymi w ostatnich wyborach, co — obok powiększenia się odsetka głosów komunistycznych — jest objawem ogólnego wzrostu tendencji skrajnych we Włoszech. Sukcesy te, jeśli chodzi o „Movimento Sociale", są jednak zbyt skromne, by można było na ich podstawie wnioskować o dalszym przesuwaniu się nastrojów społeczeństwa włoskiego w tym kierunku. Natomiast stabilizacja wpływów komunistycznych jest faktem, z którym trzeba się liczyć bardzo poważnie.

AKCJE EMIGRANTÓW ROSYJSKICH ZWYŻKUJĄ

Czynniki polityczne amerykańskie w swych zainteresowaniach, sięgających poza żelazną kurtynę, nie ograniczają się do krajów Europy środkowo-wschodniej. Obok powołania do życia Komitetu Wolnej Europy, który rozporządza już własnymi audycjami radiowymi, coraz większą uwagę poczynają one zwracać na społeczeństwo rosyjskie. Idzie to po linii wskazań znanego artykułu G. F. Kennana, który ukazał się w kwartalniku „Foreign Affairs" i o którym wspominaliśmy niedawno w „Myśli Polskiej".

Jednym z przejawów tego zainteresowania jest pomoc okazywana emigrantom rosyjskim w Stanach Zjednoczonych. Na te cele fundacja Forda ofiarowała pół miliona dolarów.

Warto zanotować, że równocześnie w Londynie powstało Brytyjskie Towarzystwo Wolnej Rosji. Prezesem jest — jak donosi „Tablet" — gen. Richard Hilton, a wiceprezeską ks. Atholl, która od kilku lat stoi na czele Brytyjskiej Ligi Wolności Europy. Ze strony rosyjskiej organizacją towarzystwa zajmuje się osiadły od dawna w Londynie emigrant Knupffer.

We wspomnianym artykule „Foreign Affairs" Kennan wypowiada pogląd, że Ukraina powinna pozostać w granicach państwa rosyskiego, jako ściśle z Rosją związana pod względem gospodarczym. Teza ta oczywiście wywołała gwałtowne protesty ze strony emigrantów ukraińskich. Trudno ocenić, czy pogląd Kennana odpowiada ustalonym już wytycznym oficjalnej polityki amerykańskiej. Warto w każdym razie zanotować, że sekretarz stanu Acheson przemawiał ostatnio przez radio (w audycjach „Głosu Ameryki") do Gruzinów, sławiąc ich dawne walki o wolność i zachowanie odrębności narodowej.

m a n i a przyczyniły się także rządy mocarstw zachodnich. Nie umożliwiano przedstawicielom emigracji bezpośredniego wyjaśniania swym społeczeństwom w kraju ich stanowiska wobec bardziej żywotnych spraw. Kierownictwa programów radiowych Ameryki czy Wielkiej Brytanii kierowanych do Polski wzdragały się przed wprowadzeniem rubryki tak bardzo oczywistej, gdy chodzi o powiadamianie narodów za żelazną kurtyną o stanie ich wolnej opinii za granicą — przeglądu prasy. Ostatnio dopiero radio Wolnej Europy wprowadziło przeglądy prasy emigracyjnej, pozwalając społeczeństwu w kraju śledzić kształtowanie się wolnej opinii. Cisza trwająca tak długo została jednak w pełni wykorzystana przez politykę sowiecką.

Pisma sowieckie w języku polskim bynajmniej nie milczały na ten temat. Powykrawały z opinii emigracyjnej takie karykatury i dziwolągi, że gdyby się naprawdę w Polsce na tym źródle opierano, ręce opadłyby ludziom z rezygnacją. Do beznadziejności sytuacji w kraju, dołączyłby się obraz głupoty, bezmyślności i zdrady narodowej polskich ośrodków emigracyjnych.

Prasa sowiecka w Polsce wykorzystuje każde tutejsze słowo nieodpowiedzialne, nie mające pokrycia, powiedziane dlatego, że ślina na język przyniosła, dla popisu stylistycznego, dla dodania sobie ważności, dla ukłucia przeciwnika z innego obozu politycznego w najczulsze miejsce. Wykorzystano swoistą bezmyślność podejrzanych „schöngeistów", głoszących niemniej podejrzane slogany o przyszłym wieku złotym bez granic, bez zaściankowych konfliktów, z jednym światowym rządem itp. Wiemy tutaj dobrze jak nic wspólnego nie mają one z polską myślą polityczną. Tam jednak — w propagandzie sowieckiej po polsku — urastają do reprezentatywnych wypowiedzi „ogłupiałej i sprzedajnej emigracji". Nie ma oczywiście słowa o tutejszym stanie prawdziwej opinii politycznej, o nieefektownej, choć nieustannej pracy i zabiegach nad postawieniem sprawy polskiej w odpowiedniej postaci i na odpowiednim miejscu.

Łatwej i jarmarcznej polemice z wypowiedziami niepoważnymi, towarzyszy w kraju kłamliwa, pokracznie wykrzywiona „polemika" z ośrodkami politycznymi i ideowymi, w której naczelną nutą i tezą do udowodnienia jest: sprzedali się i zdradzili wszyscy bez wyjątku, nie macie przywódców innych jak w KC PZPR czy WKP (b). Oczerniane są równomiernie wszystkie ważniejsze ośrodki polityczne mające jakiekolwiek istotne znaczenie dla kształtowania się sprawy polskiej w wolnym świecie. Tam, w laboratoriach nieprzyjaciela, dokonana została swoista konsolidacja polityczna w myśl sowieckiej zasady równania w dół. Na dno obelg i zaplucia ściągnięto narodowców, socjalistów, piłsudczyków, spreparowano ich wypowiedzi tak, jak wypowiedzi oskarżonych czy świadków na pokazowych procesach. Z „Myśli Polskiej", „Robotnika Polskiego" czy „Orła Białego", płyną zniekształcone nożycami redaktorów sowieckich samooskarżenia: jesteśmy zdrajcy, sprzedajemy ziemie zachodnie, marzyliśmy o współdziałaniu z Hitlerem w tworzeniu rządów quislingowskich. Żadna najbardziej głupia obelga nie jest do pogardzenia. W „Trybunie Ludu" (16. 5. 1951) propagandzista sowiecki, niejaki Brodzki, pisze: „organ endecji „Myśl Polska" precyzuje, że odbudowa Polski nastąpić może (tu następuje rzekomy cytat z naszego pisma) „jedynie z pomocą zagranicznych kapitałów". Nie wiemy co prawda gdzie ten urywek, ta ćwierć zdania została napisana, skąd wycięta i podana obywatelowi Brodzkiemu, pewne jest, że oburzać się na nią mogą tylko ludzie wynajęci do pisania usprawiedliwień i pochwał dla sowieckiej polityki eksploatacji Polski, drenowania jej sił gospodarczych i biologicznych.

Nie podobna streszczać wszystkich kłamstw sowieckich. Nie skąpią nam epitetów właściwych stylowi kremlińskiemu. „Bombą i sztyletem po Szczecin i Wrocław", „Lizybuty Guderiana", „Od marek do dolarów", „Z Adenauerem nach Osten" — oto skromna dawka podtytułów z jednego tylko artykułu.

Być może, że wielu Polaków na emigracji przeczyta te uwagi z pewnym zadowoleniem. Nie ma nic dziwnego, że wróg, śmiertelny wróg Polski, wykorzystuje sytuację, w której głos polski nie dociera tak, jak by mógł docierać do kraju. Skoro się nami tak gorliwie zajmują, pewnie ich to boli. Oczywiście. I to też. Jedynym wszakże praktycznym wnioskiem dla nas tutaj jest rzetelny wysiłek informacyjny na kraj. Inne wnioski, natury pochodnej, wiążą się z całością naszych stosunków wewnętrznych na emigracji. Popisy oratorskie czy stylistyczne, recytacja cudzych frazesów, silenie się na oryginalność — a wreszcie podział na kilka ośrodków politycznej decyzji, to luksus, na który może stać nas tutaj, na emigracji, na który jednak na pewno nie stać nas w kraju.

A wracając do przytoczonych przykładów nienawiści wobec Polaków i polityki polskiej, przykładów złorzeczeń i kłamstw dokonywanych przez najróżniejszych Brodzkich, trzeba będzie w swoim czasie wyraźnie pod ich adresem powiedzieć tak, jak mówiono twórcy „Goralenvolku" Krzeptowskiemu podczas ostatniej wojny: „Bees wisioł, hyclu".

PREZES BIELECKI NA KONTYNENCIE

W czasie pobytu swego w Strassburgu prezes T. Bielecki odbył szereg rozmów na temat położenia międzynarodowego i sprawy polskiej z delegatami państw reprezentowanych w Radzie Europejskiej. Z problemów szczegółowych prez. Bielecki przedłożył memoriał Związku b. więźniów obozów koncentracyjnych niemieckich w sprawie należnych im odszkodowań. Memoriał ten został złożony przewodniczącemu Zgromadzenia Europejskiego p. Spaakowi, sekretarzowi generalnemu Rady Europejskiej p. Parisowi i delegatom poszczególnych krajów, w szczególności Francji, Belgii, Holandii, Szwecji, Danii, Turcji i Grecji. Sprawą tą, jak z przeprowadzonych rozmów wynika, zajmuje się komisja specjalna Zgromadzenia Europejskiego powołana dla czuwania nad interesami krajów niereprezentowanych w Radzie Europy.

Ze Strassburga udał się prez. Bielecki do Niemiec, ażeby zapoznać się osobiście z położeniem Polaków w Niemczech i z problemem polskim na tle polityki Niemiec zachodnich. W związku z tym prez. Bielecki złożył wizyty Wysokim Komisarzom mocarstw okupacyjnych: Sir Ivone Kirkpatrickowi, p. John J. McCloyowi i zastępcy Wysokiego Komisarza francuskiego p. A. Berardowi w ich siedzibach pod Bonn. W rozmowach tych prez. Bielecki poruszył zagadnienia polityki międzynarodowej i przedstawił polski punkt widzenia na stosunki polsko-niemieckie. Wizyta prez. Bieleckiego przypadła w okresie debaty w parlamencie federalnym na temat statutu Saary i związanych z tym roszczeń terytorialnych niemieckich. W czasie tej debaty kilku mówców poruszyło kwestię granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie.

W czasie swojego pobytu w Niemczech prez. Bielecki odbył rozmowy z przedstawicielami polskiego życia społecznego i zetknął się bezpośrednio z ośrodkami ludności polskiej. Zapytany przez przedstawiciela naszego pisma o los Polaków w Niemczech prez. Bielecki powiedział:

Jest to sprawa wymagająca stałej troski ze strony czynników polskich, gdyż położenie naszych rodaków w Niemczech jest niezwykle trudne. Zależą oni prawie wyłącznie od władz niemieckich. Nie potrzebuję dodawać, że Niemcy nie będą otaczać należytą opieką uchodźców polskich. Jest ich obecnie w Niemczech przeszło 40.000, a pozostanie z nich około 30.000 bez możliwości emigrowania. Obowiązkiem wszystkich Polaków jest przyjść z pomocą moralną i materialną rodakom naszym w Niemczech, których położenie jest nieraz wręcz tragiczne. Musimy okazać — stwierdził z naciskiem prez. Bielecki — więcej realnej troski i rzeczywistej pomocy Polakom w Niemczech.

W drodze powrotnej prez. Bielecki zatrzymał się na kilka dni w Paryżu, gdzie przeprowadził rozmowy w kołach politycznych francuskich i amerykańskich.

LIST KARD. GRIFFINA

Jednym z najznamienniejszych przejawów kryzysu, jaki przeżywa nasza cywilizacja, jest obojętność, z jaką

Zachód przyjął ujarzmienie związanych z nim od tylu stuleci narodów Europy środkowo-wschodniej przez komunistyczną tyranię Moskwy.

Nie jest to jednak, na szczęście, postawa powszechna. Są i na Zachodzie ludzie, którzy nie godzą się z cofnięciem granic naszej cywilizacji na linię Lubeka-Triest. Nie zamarła też jeszcze całkiem wrażliwość na gwałcenie podstawowych praw człowieczeństwa, gdziekolwiek by to zachodziło.

Świadczy o tym, między innymi wypowiedziami Kościoła Katolickiego, ostatni list pasterski arcybiskupa Westminsteru kardynała Griffina, poświęcony prześladowaniom religijnym w krajach za żelazną kurtyną. Na pochwałę katolików brytyjskich powiedzieć trzeba, że nie dadzą się oni nikomu wyprzedzić w żarliwym manifestowaniu swej łączności duchowej z tą właśnie, wciąż zagrożoną przez najazdy wrogów chrześcijaństwa od wschodu i zachodu, częścią Europy. Idą po drodze wytyczonej przez dwóch wielkich, a nieżyjących już przyjaciół Polski: G. K. Chestertona i kardynała Hinsleya.

„Od końca wojny — mówi kardynał Griffin — przeszło 200 księży w tych krajach poniosło śmierć przez egzekucję, a 1.700 skazanych zostało na więzienie... Powiedzą nam, że nie jest dobrą polityką mieszać się w wewnętrzne sprawy innych narodów. My jednak odpowiemy, że troszczymy się o podstawowe prawa jednostki ludzkiej, że zdjęci jesteśmy troską z powodu negowania praw, zagwarantowanych przez Kartę Narodów Zjednoczonych, że zdjęci jesteśmy w wielu wypadkach troską z powodu odmawiania wolności kultu religijnego, zagwarantowanej przez traktaty pokojowe.

„Niekiedy wysiłki nasze mogą nam się wydawać daremne, powinniśmy w nich jednak wytrwać choćby po to tylko, by pokazać gnębicielom, że nie zapomnieliśmy mężczyzn i kobiet zamkniętych w ich więzieniach.

„Musimy uczynić swym obowiązkiem staranie się o to, by nasi bracia uwięzieni za żelazną kurtyną nie przeszli do krainy ludzi zapomnianych."

Kardynał Griffin mówi tu o obowiązku religijnym i moralnym. Toczące się dzisiaj wydarzenia wykazują i niewątpliwie wykazywać będą z coraz większą wyrazistością, że także w interesie Zachodu, jak najbardziej „realistycznie" pojętym, jest nie dopuścić do tego, by Europa środkowo-wschodnia stała się „krainą ludzi zapomnianych" i ostatecznie porzuconych.

SIŁA KOMUNIZMU WE WŁOSZECH

W wyborach samorządowych we Włoszech północnych rząd Gasperiego osiągnął w znacznej mierze swój cel, jakim było utrącenie większości, posiadanej przez komunistów od r. 1946 w licznych radach miejskich i prowincjonalnych tej części kraju. W Genui, Wenecji, Weronie, Padwie, Pawii, Rawennie, Ankonie, Como, Nowarze i innych miastach władza przeszła z rąk komunistycznych w ręce Chrześcijańskiej Demokracji i jej sprzymierzeńców. Spośród większych ośrodków komuniści zachowali większość tylko w Bolonii oraz w portach Savona i Pesaro. Na 29 rad prowincjonalnych Chrześcijańska Demokracja zwyciężyła w 22, a komuniści zatrzymali większość tylko w 5.

Są to niewątpliwie fakty pocieszające, ale znaczenia ich nie należy przeceniać. Wpływy komunistyczne osiągnęły w wyborach samorządowych r. 1946 swój punkt szczytowy, — później wskutek ocknięcia się kontrofensywy przeciwników czerwonej dyktatury poczęły się nieco cofać. Wybory parlamentarne r. 1948 przyniosły bezwzględną większość mandatów jednemu stronnictwu: Chrześcijańskiej Demokracji; obawa przed wzbierającą falą komunistyczną była główną przyczyną tej niezwykłej, jak na stosunki włoskie (czy francuskie), konsolidacji społeczeństwa. Widoczne było jednak od razu, że kręgosłup komunizmu złamany nie został. Istotnie też komuniści zdołali znowu powiększyć w obecnych wyborach odsetek głosów, które padły na ich listy. W wyborach do rad prowincjonalnych we Włoszech północnych zdobyli oni 1.855.323, tj. 22 % (dokładnie 21,9%) wszystkich głosów, do czego doliczyć jeszcze należy 1.131.871 głosów (13,4%), które padły na listy sprzymierzonej z komunistami partii socjalistycznej Nenniego. Daje to razem 45.3% wszystkich głosów, podczas gdy chrześcijańscy demokraci wraz ze sprzymierzonymi uzyskali 41.1%, a tzw. Włoski Ruch Społeczny (neofaszyści) około 4%.

Nie jest to wynik wesoły, zwłaszcza gdy się uwzględni, że komuniści są grupą najbardziej zwartą i dynamiczną, opartą głównie o żywioły młodsze. Biorąc to pod uwagę, ich faktyczna siła we Włoszech północnych wyraża się na pewno odsetkiem znacznie większym niż 22%, cóż dopiero gdy dołączymy do tego ich sprzymierzeńców, socjalistów Nenniego.

Taką to piątą kolumną dysponuje czerwona Moskwa w kraju, który jest kolebką naszej cywilizacji. Przyczyny tego utwierdzenia się komunistów we Włoszech są różne, za główną jednak uważać należy nędzę, a w każdym razie niski standard życiowy wśród znacznej części ludności. Stwarza to we Włoszech — i nie tylko we Włoszech — kontrasty, jakich w Anglii się prawie nie spotyka; wystarczy przejechać na drugą stronę Kanału, by zaobserwować ich istnienie już we Francji, choć oczywiście na mniejszą skalę niż na Półwyspie Apenińskim.

Poza tym komunizm daje młodym, aktywnym elementom nie tylko wizję „sprawy", o którą należy walczyć, ale i odpowiadające dużej części młodzieży formy i atmosferę organizacyjną. Talent Gasperiego, łącznie ze wzmożoną działalnością kół katolickich, zdołały w sporej mierze „zdynamizować" Chrześcijańską Demokrację. Trudno jednak powiedzieć, czy stronnictwo to złożone z żywiołów bardzo różnorodnych i niezharmonizowanych, zdoła się długo utrzymać w swej dotychczasowej postaci, zwłaszcza gdyby Gasperiego nie stało. Podobnie trudno ocenić szanse rozwoju ruchu neofaszystowskiego. Chlubi się on pewnymi sukcesami, osiągniętymi w ostatnich wyborach, co — obok powiększenia się odsetka głosów komunistycznych — jest objawem ogólnego wzrostu tendencji skrajnych we Włoszech. Sukcesy te, jeśli chodzi o „Movimento Sociale", są jednak zbyt skromne, by można było na ich podstawie wnioskować o dalszym przesuwaniu się nastrojów społeczeństwa włoskiego w tym kierunku. Natomiast stabilizacja wpływów komunistycznych jest faktem, z którym trzeba się liczyć bardzo poważnie.

AKCJE EMIGRANTÓW ROSYJSKICH ZWYŻKUJĄ

Czynniki polityczne amerykańskie w swych zainteresowaniach, sięgających poza żelazną kurtynę, nie ograniczają się do krajów Europy środkowo-wschodniej. Obok powołania do życia Komitetu Wolnej Europy, który rozporządza już własnymi audycjami radiowymi, coraz większą uwagę poczynają one zwracać na społeczeństwo rosyjskie. Idzie to po linii wskazań znanego artykułu G. F. Kennana, który ukazał się w kwartalniku „Foreign Affairs" i o którym wspominaliśmy niedawno w „Myśli Polskiej".

Jednym z przejawów tego zainteresowania jest pomoc okazywana emigrantom rosyjskim w Stanach Zjednoczonych. Na te cele fundacja Forda ofiarowała pół miliona dolarów.

Warto zanotować, że równocześnie w Londynie powstało Brytyjskie Towarzystwo Wolnej Rosji. Prezesem jest — jak donosi „Tablet" — gen. Richard Hilton, a wiceprezeską ks. Atholl, która od kilku lat stoi na czele Brytyjskiej Ligi Wolności Europy. Ze strony rosyjskiej organizacją towarzystwa zajmuje się osiadły od dawna w Londynie emigrant Knupffer.

We wspomnianym artykule „Foreign Affairs" Kennan wypowiada pogląd, że Ukraina powinna pozostać w granicach państwa rosyskiego, jako ściśle z Rosją związana pod względem gospodarczym. Teza ta oczywiście wywołała gwałtowne protesty ze strony emigrantów ukraińskich. Trudno ocenić, czy pogląd Kennana odpowiada ustalonym już wytycznym oficjalnej polityki amerykańskiej. Warto w każdym razie zanotować, że sekretarz stanu Acheson przemawiał ostatnio przez radio (w audycjach „Głosu Ameryki") do Gruzinów, sławiąc ich dawne walki o wolność i zachowanie odrębności narodowej.

MEMORANDUM RADY POLITYCZNEJ

Radio Wolnej Europy podało dnia 23 maja w audycji na Polskę obszerne wyjątki z memorandum Rady Politycznej z dnia 11 maja, złożonego rządom brytyjskiemu, francuskiemu i Stanów Zjednoczonych. Memorandum podpisali przewodniczący Rady Politycznej prez. T. Arciszewski i przewodniczący Wydziału Wykonawczego min. J. Zdziechowski.

Poniżej zamieszczamy tekst memorandum.

W ostatnich dniach prasa rozgłosiła wiadomość o rzekomym zamiarze kanclerza republiki zachodnio-niemieckiej, p. Adenauera wręczenia Wysokiej Komisji Alianckiej w Bonn memorandum zgłaszającego pretensje do wszystkich obszarów, jakie w dniu 31 grudnia 1937 r. należały do Rzeszy. Obszary te mają być przedstawione w memorandum jako prawnie należące do Rzeszy, w odróżnieniu od obszarów, które Niemcy anektowały po tej dacie.

Powyższa informacja, podana z licznymi szczegółami, nie może być lekko zbyta, a fakt, że komisarzy alianckich ogłasza się za odbiorców tego memoriału, musi być szczególnie niepokojący dla polskiej opinii publicznej.

Jest rzeczą zrozumiałą, że p. Adenauer, którego stronnictwo utraciło ostatnio szereg mandatów na rzecz Socjalistycznej Partii Rzeszy w wyborach do dolnosaskiego sejmu krajowego, stara się wzmocnić swą osobistą pozycję. Wybrał on jednak wątpliwą i niebezpieczną drogę do tego celu, rozpoczynając kampanię rewizjonistyczną. Trudno się spodziewać, by mógł na tym polu skutecznie współzawodniczyć z niemieckimi grupami skrajnie nacjonalistycznymi. Taktyka ta nie pozyska też, wahającej się obecnie lub niechętnej, niemieckiej opinii publicznej szczerze i zdecydowanie dla sprawy wolnego świata zachodniego. Jeżeli ten cel może być osiągnięty, to tylko gdy wzrastająca przewaga wojskowa mocarstw zachodnich usunie wątpliwość, po czyjej stronie, w razie konfliktu zbrojnego, znajdzie się zwycięstwo.

Naród polski nie ponosi odpowiedzialności za wybuch drugiej wojny światowej. Padł on ofiarą napaści niemieckiej w r. 1939 i poniósł z rąk niemieckich straty w ludziach i dobrach. Połowa przedwojennego obszaru Polski została jej zabrana przez Rosję Sowiecką a miliony jej mieszkańców zostały wysiedlone i przeniesione na jej obecne ziemie zachodnie, w wykonaniu umów zawartych z udziałem rządów Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych i ich zezwoleniem.

Naród polski pozostał do końca wierny swym zachodnim sprzymierzeńcom i przyjaciołom. Walczył u ich boku we wszystkich głównych kampaniach wojny a równocześnie stawiał niezłomny opór najeźdźcy przez swą Armię Krajową i władze podziemne. Mimo okrutnych rozczarowań pozostaje on do dziś dnia mocno złączony z wolnym światem zachodnim, z którym jest powiązany tak silnymi tradycjami. Choć jest obecnie w niewoli, znajdzie niewątpliwie właściwą drogę dla wyrażenia swej woli w chwili decydującej.

Polska jest obecnie zbrojona przez swych komunistycznych władców, którzy docenili jej wartości wojskowe, a polskie siły zbrojne są najpoważniejsze wśród sowieckich „satelitów". Te siły nie mogą być i nie będą użyte przeciw zachodnim przyjaciołom Polski, lecz, by to osiągnąć, jest konieczne, aby nasi zachodni sprzymierzeńcy z czasów wojny nie czynili żadnych kroków ani nie składali żadnych oświadczeń, które by mogły popchnąć lud polski do rozpaczy, a które byłyby natychmiast wykorzystane przez propagandę sowiecką.

Pozwalamy sobie więc apelować, by doradzono p. Adenauerowi zrezygnowanie z rozpoczęcia kampanii rewizjonistycznej.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

ŚWIATŁO ITALII

Stanisławowi Strońskiemu przypisuję

CZŁOWIEK z północy, zjeżdżający ku Włochom jakąkolwiek drogą, czy to przez Udine do Wenecji, czy to cudownym brzegiem Riwiery przez Ventimiglię, czy to z Simplonu brzegiem włoskich jezior, czy to wreszcie przez Turyn ku Lombardii czy Genui, — jest stale i wszędzie jakby urzeczony światłem. To słońce i to przejrzyste powietrze owłada nim coraz bardziej, coraz silniej, coraz pełniej w miarę posuwania się tym pysznym brzegiem włoskiej Riwiery i dochodzi granic przepychu opodal Genui, między Spezzią a Rapallem. Potem podróżnik trochę tępieje na to pławienie się w słońcu i błękicie, tym bardziej, że Apeniny ten kryształ szarpią swoją dzikością, a Toskania go śmierzy jakby swym umiarem i pastelowością.

Przypominam tu te wrażenia niedawnej mej podróży do Florencji, gdyż przydadzą mi się za chwilę w relacji prac V Kongresu Historyków Literatury, jaką tu podać zamierzam.

Kongres florencki zwołany został przez Fédération Internationale des Littératures et des Langues Modernes, która w r. 1948 zastąpiła dawną Commission Internationale d'Histoire Littéraire, organizatorkę poprzednich kongresów historii literatury (1931, Budapeszt; 1935, Amsterdam; 1939, Lion; 1948, Paryż). Kongresy opublikowały każdorazowo swe akty. Tomy te są ciekawe, gdyż każdy z kongresów obierał swój ogólny temat, którego wyświetleniu się poświęcał (1931: metody badania literatury; 1935: chronologiczne podziały wielkich epok i prądów; 1939: rodzaje literackie; 1948: literatura a ruchy społeczno-rewolucyjne). Kongres florencki, zgodnie z genius loci Florencji, poświęcony był stosunkom zachodzącym między literaturą a sztukami plastycznymi (arts figuratifs).

Kongres florencki, doskonale obesłany (działała tu głównie siła atrakcyjna Florencji!) był niezmiernie pouczający i aż zawalony treścią. Wysłuchano 11 syntetycznych „rapports" i około 75 referatów, o wartości oczywiście nierównej, ale w dużym procencie przynoszących rzeczy nowe. Parudniowe obrady musiały się w tych warunkach rozbić na sekcje, co jest przekleństwem każdego kongresu. Dalszym rezultatem tego przeładowania był niezmiernie skrócony czas na dyskusję. Właściwie dyskuje zostały przerzucone do kuluarów i godzin poza obradami.

Nadało to specyficzny charakter tym dniom florenckim. Były one wypełnione bardzo pracowitym i plennym wysiłkiem naukowym, przeznaczonym dla pchnięcia naprzód szeregu problematów historyczno-literackich. Kto chciał, miał możność zetknąć się z interesującymi go specjalistami i wymienić z nimi poglądy i wątpliwości, przewentylować całą tematykę danej gałęzi badań. Jest to właściwie najistotniejsze w każdym poważnym zjeździe naukowym.

Natomiast nie było we Florencji rozdyskutowanej atmosfery panującej na zeszłorocznym IX Kongresie Historyków w Paryżu, nie było tłumnych, prawie namiętnych dyskusji, trochę światoburczych, zostawiających za sobą posmak daremności i chaosu, nie było też ani cienia sprowadzenia wszystkiego do marksizmu i dialektycznego materializmu dziejowego: jakoś nam tego we Florencji oszczędzono.

Ta specyficzna atmosfera florencka nakłada z kolei i pewne ograniczenia obecnemu sprawozdawcy. Tematyka nie miała implikacji politycznych, ani nawet religijnych czy metafizycznych. Uczciwie zajmowała się swoimi sprawami. Innymi słowy, aby zająć czytelnika niefachowego, i trafić na łamy „Myśli", należy nam — sądzę — nie charakteryzować ogólnie ogromu poruszonych spraw, ale raczej wybrać jedną, czy niektóre, i właśnie tym czytelnika zainteresować.

Do tego mi właśnie potrzebne były

owe uwagi wstępne, poświęcone światłu Italii...

Zajmując się specjalnie wiekiem XVIII — takie mi wyznaczono z góry zadanie, zamawiając u mnie „rapport" o wieku Oświecenia — nie mogłem oczywiście nie zająć się Goethem. Okazało się nawet, że nie ja jeden postanowiłem zwrócić uwagę na znaczenie jego włoskiej podróży dla głębokiego przełomu, jaki przechodzi środkiem jego życia. Goethe XIX-wieczny jest zupełnie inny od Goethego XVIII-wiecznego i linia podziału idzie latami 1786 — 1787, które spędził w Italii. Tam właśnie, rzec by można, obiit autor „Sturm und Drangu" a natus est późniejszy Olimpijczyk i klasyk.

Zwrot ten dokonał się pod naciskiem światła włoskiego, w którym olśniła go nowoodkryta przezeń rzeźba starożytna. Zaiste wymarzony dla kongresu florenckiego przykład wpływu sztuk plastycznych na literaturę.

Właśnie Goethemu — ale nie tylko jemu — chciałbym poświęcić ten szkic.

* * *

Goethe przyjeżdżał, po raz pierwszy w życiu, do Italii już jako człowiek dojrzały: miał za sobą 37 lat życia z okładem, to co Dante nazywał „mezzo del cammin di nostra vita". Miał też za sobą swój „Sturm und Drang", swe pierwsze arcydzieła, „Werthera", „Götza von Berlichingen", swój entuzjazm dla gotyku i średniowiecza.

Wszystko to trzeszczało w posadach. Goethe ma w tece szereg dzieł, które mu nie idą: „Ifigenię", „Tassa", a też i „Wilhelma Meistra", jeżeli nie „Fausta". W Weimarze mu jest duszno, mimo sukcesów dworskiej kariery. Ucieka, wręcz ucieka, na południe, do Włoch, ku światłu.

Ta ucieczka ku ś w i a t ł u nie jest przesadą ni naszym wymysłem. Zawsze do niego tęsknił, do światła i słońca południa, i widział w nim to czego mu nie dostawało na północy, czego mu brak było dla jego twórczości i ku czemu rwał się i dążył. Opowie nam o tym wszystkim sam, własnymi słowy.

Goethe zawsze, już w swym pierwszym okresie, uważał był, że najszlachetniejszym organem człowieka jest oko, a najszlachetniejszym zmysłem wzrok. Zaraz po opuszczeniu Weimaru, po przekroczeniu Alp, już w Wenecji, 8 października 1786 r., notuje: „Moje stare przyzwyczajenie, by na świat patrzeć oczyma tego malarza, którego obrazy ostatnio zapadły mi w duszę, doprowadziło mnie i tu do szczególnego spostrzeżenia. W rzeczywistości oko kształtuje się za młodu, wedle tych przedmiotów, które od młoda postrzega. Tak więc malarz wenecki musi patrzeć na świat w sposób jaśniejszy i pogodniejszy niż inni ludzie".

Otóż ambicją Goethego we Włoszech będzie, by nadrobić tyle lat straconych i doprowadzić do świadomego, choć późnego wychowania, wykształcenia oka...

Miesiącom swoim rzymskim wdzięczny będzie całe życie. Za drugim pobytem w Rzymie, wracając z Neapolu, pisze: „W czasie tych moich przechadzek nabyłem wyraźnego poczucia, pojęcia, nawet wizji tego, co można w najwyższym rozumieniu tego słowa nazwać „obecnością ziemi klasycznej".

Cokolwiek widzi, widzi w innym świetle włoskiego południa. I wszystko co widzi, widzi jakby po raz pierwszy, i lepiej rozumie.

Co więcej — rozumie to tak dobrze, że aż mu się zaczyna wydawać, iżby sam tak potrafił. Bo dla Goethego zrozumieć, to prawie wszystko...

A więc zaczyna rysować, kopiować z antyku, malować i nawet lepić w glinie. Anch'io sono pittore!

Ma przy tym, i to dla nas jest jedynie ważne, przekonanie, że rysując nie odbiega od swej poezji: „Fakt, że rysuję czy też uczę się sztuki, pomaga tylko moim zdolnościom poetyckim, a wcale im nie przeszkadza. Trzeba mi bowiem mało pisać, a wiele rysować" (21. 12. 1787 w Rzymie). A w marcu następnego roku donosi, że w tym tygodniu modelował stopę po uprzednim badaniu kości i mięśni... Ten, dodaje, kto by w ten sposób przebył naukę całego ciała, postąpiłby znacznie. „Mam również u siebie stopę szkieletu, piękną anatomię z gipsu zdjętą z natury, z pół tuzina niezmiernie pięknych stóp antycznych... Do któregokolwiek miasta wejdę, zaraz znajduję sposobność oglądania tych interesujących mnie części ciała."

Jak widać Włochy doprowadziły weimarskiego literata i męża stanu do niezmiernie systematycznego, woluntarystycznego przedostawania się na inny tor.

Czy robi sobie iluzje na temat tych prac? Bodaj, że tak. Ten znakomity już autor „Werthera", „Götza", tylu niedokończonych rękopisów drzemiących w jego portfelu literackim, zaczyna się zastanawiać nad tym, czy nie lepiej by zrobił kształcąc się na dobrego malarza niemieckiego, skoro Niemcy tak mało tych dobrych malarzy mają?

Oczywiście złudzenia swe straci szybko, i wtedy, wyjeżdżając z Italii, napisze w swych weneckich epigramatach tę „boutade", która może jest wtedy dla niego poważniejsza niż się nam wydaje:

„Vieles hab'ich versucht, gezeichnet, im Kupfer gestochen,
Öl gemalt, in Ton hab'ich auch manches gedruckt,
Unbeständig jedoch, und nichts gelernt und geleistet;
Nur ein einzig Talent bracht'ich der Meisterschaft nah:
Deutsch zu schreiben. Und so verderb'ich unglücklicher Dichter
In dem schlechtesten Stoff leider nun Leben und Kunst"*).

Ale wtedy już, na wyjezdnym z Włoch, Goethe miał zrozumieć wnet, jak bardzo ożywczo na jego poezję właśnie podziałała podróż włoska, jak na nowo zdołał do cna i do głębi przeorać się wewnętrznie.

Zdobywał się wtedy ten Sturm und Dränger prawie na wewnętrzną pokorę: „Przedmioty zewnętrzne dźwignęły mnie pomału aż do swego poziomu", mawiał, proklamując w ten sposób swój realizm i obiektywizm, tak bardzo inny od dawnego subiektywizmu i idealizmu poznawczego. Albo jeszcze — i odnajdziemy tu światło i oko, od których zaczęliśmy: „Moje starania o w i d z e n i e i o o d c y f r o w a n i e rzeczy takich jakimi są, m o j a w i e r n o ś ć zasadzie, by oko było światłem, to wszystko powróciło mi spokój i szczęście".

I zwłaszcza:

„Ich bin wie ein Baumeister, der einen Turm aufführen wollte und ein schlechter Fundament gelegt hatte; er wird es noch beizeiten gewahr und bricht gern wieder ab, was er schon aus der Erde gebracht hat, seinen Grundriss sucht er zu erweitern, und veredeln, sich seines Grundes mehr zu versichern, und freut sich schon im voraus der gewissen Festigkeit des kunftigen Baues**).

Przez całe swe długie jeszcze życie zachowa Goethe nieuleczalną nostalgię za Włochami, nieodparte uczucie samotności na północy i rozłąki z światłem południowym, ale i poczucie głębokiej, wewnętrznej wdzięczności za skarby, które stamtąd wyniósł. Na parę lat przed śmiercią, 23 lutego 1829 r., powie do Echermanna, że tylko dzięki podporze, jakiej mu dostarczyły jego doświadczenia i przeżycia plastyczne, zdołał oprzeć się — on Goethe — Schillerowi. „Schiller, nie miał nigdy spokoju i nigdy nie mógł skończyć... Musiałem zawsze uważać, by zachować spokój i swoje, i jego, pisma od takich wpływów zabezpieczyć... Gdyby sztuki plastyczne i badania przyrodnicze nie były stały się moimi przewodnikami, nie zdołałbym był ostać się na dobrej ścieżce." Cóż za wyznanie w ustach Goethego o Schillerze!

*) „Wiele próbowałem: rysowałem, ryłem w miedzi, malowałem olejno, i w glinie niejedno wyrzeźbiłem — ale wszystko to bez ciągłości, niczego się nie nauczyłem i nic nie stworzyłem. Jedną tylko zdolność doprowadziłem prawie do mistrzostwa: pisanie w niemczyźnie. I dziś, nieszczęśliwy poeta, muszę marnować moje życie i sztukę na najgorszym z tworzyw."

**) „Jestem jak budowniczy, który chciał wystawić wieżę, ale zły założył fundament; od czasu do czasu to spostrzega, i chętnie niszczy to, co już z ziemi dźwignął; szuka jak swój plan rozszerzyć, uszlachetnić, jak swą podstawę zabezpieczyć i już się z góry raduje na myśl o bezpiecznej trwałości swej przyszłej budowli."

Trudno z tym tekstem nie zestawić faktu z ostatnich lat Goethego. Oto dostawszy w rękę francuski przekład „Fausta", nie byle kogo zresztą, bo Gérard de Nervala, Goethe oświadczył, że skoro nie może już więcej czytać „Fausta" po niemiecku, cieszy się, że przekład francuski przywraca „Faustowi" jego nowość i świeżość...

Inna rzecz, czy ten zasadniczy włoski zwrot Goethego przyniósł z sobą tylko dobre rezultaty. Stanowisko Schillera ma swoich wiernych. Naszej polskiej naturze niejedno u Goethego będzie obce. Sami Niemcy—wiadomo — są podzieleni na ten temat.

Jedno jest pewne: to, że lata włoskie, kontemplacja arcydzieł plastyki w włoskim słońcu, wreszcie własna praktyka pędzlem i dłutem, że wszystkie te czynniki urobiły decydująco Goethego - Olimpijczyka, autora „Ifigenii", „Tassa", „Wilhelma Meistra" i samego „Fausta"*).

* * *

Tej samej jesieni 1786 r., w której do Rzymu zjeżdżał Goethe, przebywał tam już inny poeta, Francuz, o nazwisku dziś głośnym i tragicznym. Był nim André Chénier. Przez szereg tygodni ocierali się o siebie ci dwaj podróżnicy, krążąc tymi samymi szlakami, patrząc na te same zjawiska. Nie poznali się i rozmową ani razu nie zetknęli. Ale — i to dla komparatywnego badania jest najważniejsze — reakcje ich były niezmiernie podobne, miejscami identyczne. A więc bez możliwości tzw. wpływologicznych, spotkali się pojęciowo i artystycznie.

Ta sama u Chéniera co u tamtego obosieczność umiłowań artystycznych. Jego poezja, wiadomo, w poezji francuskiej jest prekursorką nie tyle Romantyzmu co Parnasu, w swych cechach linearnych i plastycznych. Był zresztą Chénier przyjacielem malarza Davida, a w salonach swej matki, pół-Greczynki ze smaku jeśli nie z pochodzenia, spotykał się z charakterystycznymi dla schyłku „stylu" Louis XVI malarzami antykującymi, sztycharzami i zbieraczami; były to lata wielkiej we Francji wziętości sławnego Winckelmanna. Zjechawszy do Włoch Chénier patrzył na muzea i zbiory okiem i poety i artysty-plastyka. Próbował bowiem i on swych sił i na polu rysunku czy sztychu.

I tak jak Goethe, zastanawiał się nad tym, czy aby nie pójść śladami Davida? Są takie w jego szkicowniku literackim „quadri", sceny rodzajowo-pejzażowe, że, po dziś dzień, nie bardzo wiadomo czy były one przeznaczone dla rysunku czy dla poematu? Sainte-Beuve oceniał je właśnie inaczej niż np. ich wydawca za dni naszych Abel Lefranc.

Ale dla nas najważniejsze jest znów znaczenie tych zamiłowań plastycznych i tej podróży włoskiej dla jego poezji. Znów to samo co u Goethego: zupełnie niezwykła dla XVIII wieku precyzja linii i obrazu, konturu i światła, raczej światła niż koloru. Wie on o tym sam doskonale:

„Ma main donne au papier, sans travail, sans étude,
Des vers, fils de l'amour et de la solitude.
Tantôt de mon pinceau les timides essais
Avec d'autres couleurs cherchent d'autres succés".

Wiersze te, ilustrujące obie alternatywy twórcze: pióro i pędzel — przy czym „rysunek piórem" jest tylko wierszem — mógłby był napisać Goethe.

I w jednym jeszcze spotkali się ci dwaj poeci, dwaj wędrowcy po Italii, spotkali tragicznie. Oto Chénier oskarżany był powszechnie o złą metodę pracy: zaczynał mnóstwo, niczego nie kończył. Bronił się podwójnym porównaniem, po które sięgał do sztuk plastycznych, a w każdym razie pozapoetyckich.

Raz przyrównywał się do rzeźbiarza, który w swej pracowni ma równolegle prowadzone, pozaczynane ale nie wykończone posągi i torsa. Śliczne to zresztą wiersze:

„S'égarant a son gré, mon ciseau vagabond
Achève à ce poème ou les pieds ou le front,
Creuse à l'autre les flancs, puis l'abandonne et vole
Travailler à cet autre ou la jambe ou l'épaule.
Tous, boiteux, suspendus, traînent; mais je les vois
Tous bientôt sur leurs pieds se tenir a la fois".

Zaś drugim razem jeszcze śmielej, przyrównuje się do odlewacza dzwonów, który ustawia formy obok siebie, a potem za jednym odlewem, napełnia je spiżową, ognistą strugą. Są to znów wiersze przepyszne:

„...Vous avez vu sous la main d'un fondeur
Ensemble se former, diverses en grandeur,
Trente cloches d'airain, rivales du tonnerre?
Il achève leur moule enseveli sous terre;
Puis, par un long canal en rameaux divisé,
Il fait couler les flots d'un airain embrasé.
Si bien qu'au même instant, cloches, petite et grande,
Sont prêtes...

Moi, je suis ce fondeur: de mes écrits en foule
Je prépare longtemps et la forme et le moule;
Puis, sur tous à la fois je fais couler l'airain:
Rien n'est fait aujourd'hui, tout sera fait demain".

Otóż tragizm tych wierszy polegał na tym, że miały się one znacznie lepiej stosować do Goethego niż do Chéniera! Autor tych wierszy zginął bowiem jako niewinna i wstrząsająca ofiara rewolucji i ślepej gilotyny, nie doczekawszy chwili, w której by wykończył swoje dzieci twórcze. Ale Goethe, Olimpijczyk, postąpił właśnie tak jak ten odlewacz dzwonów:

„Rien n'est fait aujourd'hui, tout sera fait demain".

Dotyczyło to wszystkiego, co największe w jego spuściźnie: „Ifigenii", „Tassa", „Wilhelma Meistra" i „Fausta".

* * *

Myślałem o tym uroku światła włoskiego i o tej jego doniosłości dla artystycznego percypowania, jadąc do Florencji i potem wracając z niej na północ. Za oknami wagonu migały smukłe kampanile wiejskich — i miejskich — kościołów. Kampanile te, wieże i wieżyczki tak dla włoskich kościołów charakterystyczne, powstały bodaj w samym Rzymie: jest ich tam dwudziestka najstarszych okazów. I z Rzymu wyruszyły na podbój całego półwyspu. One również wymagają włoskiego błękitu. Wszak ich regularne, przeważnie nieozdobne kolumienki czy ścianki przedzielają symetrycznie kawałki błękitu — i właściwie ta próżnia błękitu jest w nich najważniejsza, a raczej ta siatka architekturą na błękicie wycięta. Gotycka wieża, i gotyckie okno, mają inne zadania i inne piękno; są ozdobne w sobie, pasują do chmur i szarzyzny, błękitu nie wymagają.

Wróciwszy do Londynu i do British Museum — zrozumiałem lepiej wygnane na północ przepyszne rzeźby Partenonu. Największą ich krzywdą jest nie tyle wyrwanie z attyckiej ziemi, ile oderwanie od greckiego, południowego nieba! Jest to tak dalece prawda, że właśnie obecnie jesteśmy świadkami, jak forsownie — może z powodu Festiwalu — przemalowuje się szare ściany galerii British Museum niebieską farbką...

Byle tylko dać złudzenie błękitnego tła dla wygnańców z Partenonu.

*) Określa to dobrze Gundolf w swojej monumentalnej biografii Goethego: „Seine Reinheit, seine Bestimmtheit, seine sichere Anschauligkeit hat er der Bemühung um zaichnerische Qualitäten zu danken. Durch das Zeichnen ist Goethe mehr und mehr, absichtlich und bewusst, von der impressionistischen zur linearen Prosa gelanger".

ZIARNA

Lepiej zabić, niż przyzwyczajać do trucizny. Lepsza jest rozpacz czyjaś, że los go ukrzywdził — niż jego gorzka rezygnacja i ironiczna obojętność, że świat w ogóle jest zły, a życie niewiele warte.

* * *

Człowiek w masie nie jest dobry. Są tylko dobrzy ludzie. Trzeba niezmiernego pogłębienia dobra jednostek, aby wychować dobry tłum. Bo epidemiczna bywa tylko choroba, a nie zdrowie.

* * *

Ludzie nigdy nie będą ci pamiętali tego co dla nich uczyniłeś, ale wypomną ci zawsze to, czegoś nie uczynił.

Michał Pawlikowski

WIKTOR TROŚCIANKO

PORY ROKU

Wiosna

Ciekawe to wszystko, zabawne.
Niewidziane i niespotykane chyba.
Chusty na horyzoncie jedwabne,
zielone gamy lasów
i niezdarne ruchy much
na szybach.

Codzień nowe zdumienie
i radość.
Wszystko takie inne niż wczoraj.
Tarniny nad strumieniem,
bociany lecące gromadą,
i to nawet, że Bukiecik,
kundel wyleniały, poleciał
pomagać kasztanowi
orać.

Za zielonym brzegiem lasu miasto,
dolatujące tutaj spiżową nowenną,
wiatrem i szumem lasu rozdartą na części.

Jadą wozy na kiermasz ciżbą drabiniastą.
Baby bidule idą z pielgrzymką wiosenną,
niosą zioła — na urok, na miłość, na szczęście.

A owo miasto —
wyprawna skrzynia
niezbadana, na codzień zamknięta —
otwiera przed źrenicą
zachwyty w barwach i w liniach.

Zieleń fałdzistą i błękit,
purpurę okrągłą od święta...
Ulica za ulicą.

Poczerniał nasz posag, skamieniał,
w pierzynie obłoków uleżał.
Kryształem zastygł w sklepieniach
mosiężną muzyką na wieżach.

Nad kiermaszem złoty latawiec
Urwał się z piąstek dzieci.
Milkną. Wypatrują ciekawie.
— Nie doleci do nieba?
Doleci.

Coraz wyżej. Nad urwiskiem, nad rzeką
wielką po wiosennym przyborze,
niewidoczny. Stracony zupełnie.
Tylko złoty bardziej i bardziej.

Stoją ludzie nad wodą, nurt przemija lekko
i wpada w zmierzch — jak w morze.
Stoją. Wieczór i cisza płowa.
A o latawcu nic — ani słowa.

Widzieli niejedną wiosnę
Dlatego nieruchomi czekają i twardzi.

Maj 1950

WIECZÓR W HRABSTWIE SURREY

Znów jeden obłok w morze spłynął.
Cień w bruzdach czoła, pot na brwiach.
Czerwone, pulsujące wino
krąży w spękanych dłoniach dnia.

Zagwie topoli w dole płoną
jak w dzień wezwania bliski Bogu.
Ognisty krzak rododendronu
czeka na przyjście dekalogu.

Jeszcze chwila aż trąby, grzmoty...
Co znowu! Zaciszna i sielska
dla bezdomnych — dolina tęsknoty;
dla osiadłych dom. Wieś angielska.

Pot zetrzyj, kolce powybieraj
z dłoni, bo jutro znów się wedrą.
Hej, piesku! Gwizdnij na teriera.
Chodźmy w trójkę w dół, ku cedrom.

Pierwszorzędni artyści zachodu
rozpoczęli powłóczyste role.
W takt pieśni, przez żywopłot ogrodu
chodźmy prosto do nieba. A w niebie topole.

W topolach zaś — za pagórka łukiem —
można czas zaprzeszły ułowić.
Schowaj język piesku. Pod okrągłym bukiem,
na leszczynie angielskiej śpiewa polski słowik.

W tymże hrabstwie, pod dachem, pogrążeni w cieniu,
u komina z gasnącą powoli dębiną,
starzeje się baronet w pierwszym pokoleniu
i lady wyschła z troski, że nie jest hrabiną.

Poosadzane w ramy solidne i złote
z wyrzutem patrzą Reynoldsy rozwieszone w kątach.
I znowu dzień przeminął. Przy łóżku barley water
i dwa biszkopty gorzkie. Za kwadrans dziesiąta.

Maj 1950

BOHDAN GAJEWICZ

JESTEM ADWOKATEM

W CZASIE ostatnich dwóch miesięcy zbiorowym sumieniem świata (jeśli taki jego organ jeszcze istnieje) wstrząsały wieści ze skalistej wyspy Yeu, gdzie dogorywał najstarszy w dziejach świata więzień, marszałek Pétain, obchodząc między jednym a drugim kryzysem choroby 95 swoje urodziny.

Przeszło 60 dziennikarzy wysyłało dzień w dzień depesze z biuletynami lekarskimi, wyjątkami testamentu, programem ustalonego z góry przez władze ceremoniału pogrzebowego...

Prasa polska nie pozostała w tyle. Dwóch publicystów o znanych nazwiskach poświęciło Pétainowi długie artykuły. Operując argumentami politycznymi, moralnymi, uczuciowymi, jeden zdecydowanie wypowiedział się za, drugi prawie bez wahania przeciw wyrokowi, który 6 lat temu dotknął sędziwego marszałka Francji.

Mniemamy, że może dobrze będzie spojrzeć na sprawę — od strony tego wyroku.

14 sierpnia 1945 r. Najwyższy Trybunał Sprawiedliwości skazał Pétaina na podstawie art. 75 (zmowa z nieprzyjacielem) i art. 87 kodeksu karnego (zamach przeciw ustrojowi państwa) na karę śmierci, wyrażając jednak życzenie, by kara ta ze względu na podeszły wiek oskarżonego nie była wykonana. Decyzją generała de Gaulle karę śmierci zmieniono na dożywotnie więzienie.

Uzasadnienie wyroku oparło się w głównej mierze na tezach oskarżenia, którego przedstawiciel, prokurator generalny Mornet, w długim wywodzie, bez skrupułów przedstawił przebieg 4-letnich rządów Pétaina w okupowanej czy pół-okupowanej Francji i żądał kary śmierci.

Obrona, w osobach znakomitego dziekana rady adwokackiej Ferdynanda Payen i dwóch młodych adwokatów paryskich, Jakuba Isorni i Jana Lemaire, operując olbrzymim materiałem procesowym, usiłowała punkt po punkcie zbijać stawiane oskarżonemu zarzuty: zdrady, zaprzaństwa i innych zbrodni pospolitych.

Dziekan Payen swą wielką mowę, przeplecioną głosami współobrońców, zaczął — z doskonałym wyczuciem sytuacji — od argumentu, który dość trudno było odeprzeć.

Pierwszy to raz — mówił — ciągnie się przed sądy i żąda śmierci 90-letniego starca, nad którym śmierć już i tak krąży. Czyni to Francja, ta „słodka Francja", dając widowisko światu, a starcem jest — najsławniejszy z jej synów.

Prokurator Mornet, powołując się na obrażone sumienie Narodu, oświadczył, że naród nie może darować trzech zbrodni: 1. definitywnego przed wrogiem przyznania się do klęski, 2. poniewierania narodu oraz 3. pozbawienia go honoru — wobec świata i wczorajszych towarzyszy broni.

Odpowiedź na te trzy kapitalne zarzuty taką dał w swym przemówieniu adwokat Isorni: — Życia państw nie można porównywać z życiem jednostki. O ile nie do darowania jest, gdy jednostka osiąga korzyści materialne za cenę ustępstw natury moralnej, to w życiu państwa bywa inaczej. Koncesje moralne, które mogą narazić na szwank honor naczelnika państwa, dotykają jego wyłącznie. A któż ciągnie zyski? Korzyści przeznaczone były dla francuskiego narodu.

Trybunał ogłosił wyrok.

Prokurator Mornet wygrał sprawę: Pétaina skazano na śmierć (przegrał Isorni i jego teza o specyficznym honorze głowy państwa).

Dziekan Payen wygrał proces: 90-letniemu starcowi pozwolono żyć dalej.

Jakież może być polskie stanowisko w sprawie, która ciężarem swym wybiega z pewnością poza granice wewnętrznych zagadnień francuskich?

Co decyduje: honor narodu, czy jego doraźne, doczesne szczęście? Dylemat pozornie trudny.

Usiłował go może na swój sposób beztrosko rozwiązać ów rezolutny polski żołnierz we Francji, którego jesienią 1941 r. przyłapano, gdy jechał pociągiem bez biletu. Policjant przyprowadził go do Biura Polskiego w Marsylii. Wywiązał się dialog z urzędnikiem:

— Panie kapral, jak panu nie wstyd, słowa po francusku pan nie umie i bez biletu pan jeździ.

— Ooo... panie konsulu. Gdybym mówił po francusku, to jabym jeich Petenem został!

Polacy, w obronie honoru, przegrali swoją największą w tej wojnie bitwę warszawską, ginąc pod gruzami stolicy.

Wygrali, z myślą o honorze i nie dbając, czy obcy dotrzymają gwarancji, drugą wielką bitwę, pod Monte Cassino.

Kto miał rację: Polacy w Warszawie, czy polski żołnierz z Marsylii?

Odpowiedź trudna, lecz — trudno... jestem Polakiem! Odpowiedź polska może być tylko jedna.

* * *

Choć wyrok zapadł, proces Pétaina się nie skończył. Umarło dwóch członków trybunału, zmarł główny obrońca, dziekan Payen (autor tłumaczonego przed wojną na polski przez adw. Jana Ruffa dzieła „O powołaniu adwokatury i sztuce obrończej").

Dwaj pozostali obrońcy nie zaniechali wysiłków o wydobycie skazańca z więzienia. Przed rokiem złożyli podanie, dotąd nierozstrzygnięte, o rewizję procesu. Korzystając z każdej okazji, ostatnio w 35 rocznicę bitwy pod Verdun, alarmowali opinię publiczną, prasę, parlament, wywoływali uchwały i odezwy stowarzyszeń kombatanckich w sprawie 95-letniego więźnia, zwycięzcy spod Verdun.

Na plan pierwszy wybija się tu postać 40-letniego adw. Jakuba Isorni, niewątpliwie jednego z najzdolniejszych współczesnych obrońców francuskich, drugiego może po Maurycym Garçonie, członku Akademii Francuskiej.

W wyborach do parlamentu Isorni postawił swoją kandydaturę w 2 okręgu Paryża, na prawym brzegu Sekwany, a więc twierdzy paryskich konserwatystów, jeśli takim ogólnym mianem objąć ich można. Ciekawa będzie niewątpliwie ta próba sił między zwolennikami de Gaulle'a i Pétaina. O wyniku dowiemy się pojutrze.

Abstrahując jednak od politycznego zabarwienia kandydata, dobrze będzie przyjrzeć się sylwetce tego reprezentatywnego gwiazdora palestry paryskiej, w świetle własnych jego wynurzeń i to całkiem świeżej daty.

W lutym br. ukazała się praca Isorniego „JESTEM ADWOKATEM"*), jako pierwsza z zamierzonej serii książek pod ogólnym tytułem „Mój zawód". Wkrótce mają wyjść dalsze: Jana Ludwika Barrault „Jestem człowiekiem teatru", Krystyna Diora „Jestem krojczym", Claude Farrère'a, członka Akademii Francuskiej, „Jestem marynarzem", Artura Honeggera „Jestem kompozytorem", prof. Mondora z Akademii Francuskiej „Jestem chirurgiem" itd. Już samo to zestawienie nazwisk mówi, jaką pozycję w oczach czytającej publiczności francuskiej zajmuje adwokat Isorni.

Zgodnie z sugestiami wydawców—nie chodzi tu o autobiografie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Chodzi o to, by wypełnić lukę. Jakby to było dobrze — czytamy w przedmowie wydawcy — gdyby Wagner, Balzac, Berryer, Ingres, lub Michelet zbudzili się na chwilę i mogli nam opowiedzieć, w jaki sposób powstawał drugi akt „Tristana", albo ostatni rozdział „Ojca Goriot"! Chodzi więc o wprowadzenie w zakamarki pracowni twórców, w ich metody i nawyki myślowe, tudzież zamiłowania osobiste.

Adwokat Isorni tak się w książce wywiązuje z zadanego tematu.

Sztuka adwokacka nie jest rzemiosłem. Jest sztuką. Prawdziwym adwokatem trzeba się urodzić. Jak rzeźbiarzem, jak poetą. Między krasomówstwem a innymi rodzajami sztuki ta tylko zasadnicza istnieje różnica, że... verba volant. Dzieło architekta: strzeliste łuki katedry, czy koronkowy most we Florencji poprzez wieki świadczą o geniuszu twórcy. Mowa obrończa, chociażby cudów zdołała

---

*) Jacques Isorni: „Je suis avocat". Edit. du Conquistador, Paryż, 1951. Str. 126 i 2 ndl., z portretem autora na okładce.

dokazać, rozwiewa się w nicość z chwilą ogłoszenia wyroku. Sławę nieśmiertelną ten tylko może osiągnąć mówca, który jednocześnie jest wielkim pisarzem: Demostenes, Cyceron, Bossuet.

Jakub Isorni to urodzony adwokat. Wierzy w swą sławę. I — słowa swe utrwala na piśmie.

Urodził się w Alzacji. Przechowuje dotąd zielony zeszyt, a w nim wypracowanie z trzeciej klasy, gdzie na pytanie: „Jaki zawód chciałbyś sobie obrać i dlaczego?", bez namysłu z dumą napisał: „Zostać adwokatem — to moja pasja!".

Miał powołanie. Od najmłodszych lat zamęczał rodzeństwo, zmuszając do wysłuchiwania przemówień obrończych. Wykręcali się, jak mogli. Ojciec tylko, z niewyczerpaną cierpliwością, słuchał tych improwizacji, a gdy — w fotelu — zasypiał, mały Isorni zmieniał temat i... wzruszał posłów, grzmiąc z trybuny sejmowej. W lipcu 1951 r. pragnie to czynić na serio.

Pierwszym przeżyciem młodego adwokata w Pałacu Sprawiedliwości jest moment, gdy w sali Sądu Apelacyjnego, w białym krawacie (obok, na ławce, wzruszona jak on, siedzi matka), podniósłszy rękę, mówi: „Ślubuję". I teraz już tylko trzeba czekać na pierwszego klienta. .

Pierwszy klient! Skąd go wziąć? Obrony z urzędu się nie liczą. Zazwyczaj przysyła prawdziwego klienta adwokat-patron. Z Isornim wypadek był bardziej skomplikowany. Od razu, na samym początku popełnił grzech śmiertelny, nie do darowania występek przeciw etyce adwokackiej. Podjął się obrony przeciwnika procesowego! Patron posłał go w zastępstwie do Sądu Pracy. Sprawę odroczono, lecz przeciwniczka, powódka — zwolniona z biura maszynistka (na pewno urocza) — zaproponowała Isorniemu prowadzenie swej sprawy. Co za szczęście! i jaki cios zarazem! Isorni się nie namyślał. Przyjął. Nie chodziło przecież o honorarium, lecz: pierwsza klientka... Wieczorem wyznał swój czyn patronowi, który wcale się nie pogniewał. Po 20 latach Isorni przyznaje się w książce publicznie, bo przecież.. nastąpiło już kodeksowe przedawnienie...

W czterech ścianach swej kancelarii, za biurkiem, adwokat czuje się trochę jak w konfesjonale. A jednak to całkiem coś innego. Ksiądz spowiada, pociesza, ale nie bierze udziału w dramacie. Lekarz usiłuje przywrócić zdrowie fizyczne, zgaduje czasem ukrytą w mózgu tragedię, lecz nie próbuje włączyć się w bieg akcji.

Adwokatowi każdy dzień, każdy dzwonek telefonu może przynieść zapowiedź patetycznej epopei, nie wyimaginowanej wcale, a w której sercu samym przyjdzie mu odtąd żyć, współistnieć.

Lecz nie ma róży bez kolców. Są sprawy nudne, męczące, handlowe na przykład. Największym utrapieniem adwokata jest klient - pomyleniec. Wchodzi do gabinetu, rozgląda się, siada i już niesposób go ruszyć z fotela. Mówi: prześladują go z Egiptu promienie śmierci. Albo: Winston Churchill wykradł mu sposób na wygranie wojny. Najlepszym sposobem pozbycia się nieszczęśliwca jest rada, by poszedł do adwokata X. „To specjalista w tych kwestiach, tylko proszę nie mówić, kto pana skierował, bo sprawa na tym ucierpi."

Życie kuluarów sądowych, stosunki z sędziami (dwa światy), niekończące się zabiegi i interwencje, przeróżne typy obrońców, występy na prowincji (wiadomo: adwokat ze stolicy tyle razy lepszy, ile razy Paryż jest większy np. od Grenobli), wszystko to znalazło w Isornim świetnego, trochę impresjonistycznego odtwórcę.

Adwokatem w całej pełni jest się jedynie na ławie obrończej. W todze. Podczas wygłaszania mowy. Isorni, określając w ten sposób istotę roli adwokata, daje wyraz przekonaniu, leżącemu u podstaw odwiecznych form ustrojowych palestry francuskiej, która w adwokacie widzi wyłącznie niemal mówcę, obrońcę przed sądem. Całą pisaninę kancelaryjną, redagowanie pozwów, apelacji, kasacji zrzuca się na barki niepozornego, kurzem archiwalnym obrosłego rzecznika-avoué.

Najcięższy obowiązek adwokata — to asystowanie skazanym w czasie wykonywania wyroku śmierci.

Pewien klient Isorniego, sędzia śledczy, pod zarzutem zbrodni politycznej siedział szereg miesięcy w więzieniu, gdzie najgorszego losu mógł się spodziewać. Gdy niespodziewanie przywrócono mu wolność, rzekł do obrońcy: Uważam to co było za okres próbny, który każdemu sędziemu należałoby aplikować przed dopuszczeniem do ferowania wyroków. Nie pozwolono mu jednak wyciągać wniosków ze swych doświadczeń; sądził już odtąd tylko sprawy cywilne.

Skazańcy na ogół do ostatniej chwili trzymają się dzielnie. I wymagają tegoż od swych obrońców. Pewien skazaniec, lekarz z zawodu, przed wyprowadzeniem na rozstrzelanie, mył w celi ręce długo i dokładnie. „Nie można przecież umierać z brudnymi rękami" — mruczał pod nosem. Zauważył, że adwokatowi drżą policzki. „Co się z panem dzieje, mecenasie! Dobre sobie! Czy to pana, czy mnie będą rozstrzeliwać?"

Ostatnia szansa przed wykonaniem kary śmierci to łaska prezydenta. We Francji adwokatom przysługuje w zasadzie prawo audiencji. Wygłaszają wtedy — twarzą w twarz — mowę obrończą, której stawką jest życie ludzkie, wiszące już tylko na pajęczej nici nad prezydenckim biurkiem. Ale nie wszyscy prezydenci chcą wysłuchiwać tych zaklęć. Po wojnie, dwie tymczasowe głowy państwa, Feliks Gouin i Jerzy Bidault, nie uznawały tej procedury, zlecając załatwianie podań o łaskę anonimowym urzędnikom kancelarii cywilnej. Za to obecny prezydent Wincenty Auriol, sam z zawodu adwokat, skrupulatnie przegląda wszystkie kierowane doń akta.

Isorni opowiada przebieg audiencji u generała de Gaulle. Siedział za biurkiem po cywilnemu, palił cygaro, niesposób było skrzyżować z nim wzroku, bo patrzył gdzieś w przestrzeń, ponad głową obrońcy. Isorni przez kwadrans wysilał cały swój talent. Że skazaniec— poeta, młodzieniec, że nie ma na jego rękach krwi, nie dotykał pieniędzy, że działał z przekonania...

Twarz generała nie poruszyła się na moment. Nie widząc żadnej reakcji, zrozpaczony adwokat rzuca pytanie: Czy powiedziałem już wszystko, nic już nie trzeba wyjaśnić? Padła krótka odpowiedź: „Nie trzeba". — Łaski nie udzielono.

* * *

Żeby w ten sposób móc wykonywać swój zawód, niezbędnym warunkiem jest wolność i niezależność adwokatury. Palestra francuska korzysta z niej w całej pełni. Niezależność obrońcy! To wielkie słowo. Niczego nie oczekiwać od władzy, nawet — orderu (wystarczy co prawda przejść się po Pałacu Sprawiedliwości — paryskie togi adwokackie lśnią krzyżami i medalami..). Umieć przygwoździć, gdy ktoś na to zasłuży. Mówić donośnym głosem, nawet gdy nie chcą słuchać. Wróciwszy do domu, mieć świadomość, że.. ociągano się z udzieleniem nam głosu. Jednym słowem niczego się nie spodziewać, chyba od siebie samego.

Cóż to za wielka radość! — pisze Isorni.

A z drugiej strony, ileż to razy można pomóc w nieszczęściu. Istnieją z pewnością cyniczni i niepoprawni zbrodniarze, którym pomagać nie warto. Lecz społeczeństwo i jego karzące organy bywają nieraz zbyt pewne siebie. Partia nie równa. Wystarczy popatrzeć na twarz delikwenta, który otrzymał zwyczajne wezwanie do komisariatu. Trzęsą się ręce, ściskając fatalną kartkę papieru...

Jakub Isorni w końcowym rozdziale „U siebie, przy kominku" snuje paradoksalne nieco rozważania:

My oto, związani złożoną przysięgą, jeńcy paragrafów i odwiecznych tradycji, z usposobienia—mieszczuchy, czyż za zadanie nie mamy towarzyszyć nędzarzom w ich walce obronnej przeciw społeczeństwu i—tym paktem związani — maszerować krok w krok, jak wieczni rewolucjoniści, ze słowem klątwy na ustach?

Siła nasza, jedyna i autentyczna, stąd płynie, że jesteśmy niejako symbolem. Zapewne: można się uśmiechać, zapominać o symbolu, negować jego istnienie, a nawet wyśmiewać. Nikt nie odważy się go zburzyć.

Umiłowanie zawodu odpłaci wszelkie troski.

Adwokat Isorni napisał piękną książkę. Z pewnością zostanie kiedyś dziekanem.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

CAMBRIDGE HISTORY OF POLAND

THE CAMBRIDGE HISTORY OF POLAND. From the Origius to Sobieski (to 1696). Cambridge University Press. Cambridge, 1950. Str. 607, 16 ilustracji, 2 mapy.

Zaprojektowana na kilka lat przed wojną, szeroko zakreślona praca zbiorowa uczonych angielskich i polskich (nie licząc jednego Francuza, dwóch Amerykaninów, Szwajcara i Bałta niemieckiego), mająca zobrazować dzieje narodu polskiego, została mimo rozlicznych przeszkód w zasadzie zakończona ogłoszeniem drugiego tomu, drugiego w kolejności ogłoszenia, choć obejmującego — wcześniejszy okres naszej historii (od początków do końca XVII w.). Należy przypomnieć, że bardziej zaawansowane opracowanie dziejów późniejszych od Augusta Mocnego począwszy, poprzez niewolę, pierwszą wojnę światową aż do czasów najnowszych (politycznie do śmierci J. Piłsudskiego w r. 1935, kulturalnie do chwili wybuchu drugiej wojny światowej) pozwoliło na wydanie pierwszej transzy „Cambridge History of Poland" w r. 1941. Pozostaje jeszcze ogłoszenie bibliografii, podobno już gotowej do druku, a opracowanej głównie przez prof. P. Skwarczyńskiego.

W sumie mamy do czynienia z dziełem jeśli nie monumentalnym, to jednak na dużą skalę, przygotowanym starannie przez wybitnych uczonych polskich i angielskich, w wielu wypadkach najlepszych znawców specjalnych dziedzin czy okresów historii naszego kraju. Rezultat byłby niewątpliwie jeszcze dodatniejszy, gdyby opracowanie mogło było toczyć się normalnym torem. Tymczasem wojna nie tylko zdezorganizowała warsztaty pracy naukowej w Polsce, ale przy znanych metodach hitlerowskich, pozbawiła wielu uczonych polskich zdrowia i życia. Lista ofiar wśród współpracowników była poważna. Gdy jedni ubywali nie wykonawszy zadania, trzeba je było powierzać innym. Również na terenie angielskim wojna utrudniała pracę, narzucając niektórym autorom nieprzewidziane funkcje, odrywające ich od pracy nad „Historią".

Komitet redakcyjny składał się pierwotnie z 4 osób: prof. W. F. Reddawaya, J. H. Pensona, prof. Oskara Haleckiego i prof. Romana Dyboskiego. Śmierć zabrała wcześnie, w okresie wojny, niestrudzonego i zasłużonego szerzyciela wiedzy o Polsce w świecie anglosaskim, prof. Dyboskiego. Niedawno zmarł też prof. Reddaway, główny inicjator i „spiritus movens" przedsięwzięcia, nie doczekawszy się wydania drugiego tomu „Historii".

Imponujący jest spis 43 współpracowników tego wielkiego dzieła. Niektórzy opracowali po kilka rozdziałów, tak że w sumie mamy około 55 rozdziałów, które zajmują się nie tylko pewnymi okresami naszych dziejów, ale niejednokrotnie traktują o pewnych instytucjach, ważnych dla życia narodu i państwa, jak np. Kościół, bądź też o specjalnych zagadnieniach kulturalnych, społecznych, gospodarczych, prawnych itd.

Wojna i długi okres opracowywania „Historii" sprawiły, że co najmniej 15 z tych 43 współpracowników już nie żyje. Sądzimy, że czytelników zainteresuje spis tych nazwisk, wśród których jest szereg pierwszorzędnych autorytetów. Podajemy według kolejności opracowanych przez nich rozdziałów i bez podania tytułów naukowych: A. P. Goudy, S. Kętrzyński, A. Bruce-Boswell, P. David, K. Tymieniecki, M. Z. Jedlicki, O. Halecki, F. Papée, S. Komornicki, W. Pociecha, P. Fox, J. Pajewski, F. Nowak, J. Umiński, J. Siemieński, J. Rutkowski, P. O. von Törne, W. Czapliński, M. Korduba, W. Tomkiewicz, O. Forst de Battaglia, A. Brückner, W. Tatarkiewicz, W. Konopczyński, P. Skwarczyński, W. J. Rose, W. F. Reddaway, B. Dembiński, M. Kukiel, W. Borowy, J. Holland Rose, M. Handelsman, M. Hyde, B. Pawłowski, A. P. Coleman, M. Gardner, J. Feldman, S. Estreicher, R. Dyboski, B. E. Schmitt, S. Kutrzeba, J. E. Penson, lord Kennet.

Jakkolwiek przy tak wielkiej ilości współpracowników trudno jest o uzgodnienie poglądów na wszystkie zagadnienia, jakkolwiek różnica temperamentu duchowego i w ogóle cech indywidualnych poszczególnych autorów wycisnęła i wycisnąć musiała swe piętno, jakkolwiek można by życzyć sobie gruntowniejszego potraktowania pewnych dziedzin i uniknięcia pewnych luk wywołanych ogólnymi warunkami opracowania, o czym już była mowa wyżej, czytelnik Anglik czy Amerykanin otrzymuje w „Cambridge History of Poland" dzieło wiedzy o Polsce i jej przeszłości niepodejrzanej jakości, rezultat pracy sumiennej i służącej godnie prawdzie historycznej.

Współpraca polsko-angielska dała tu wynik znakomity. Należy tym wyżej cenić pojawienie się tego dzieła, że publiczność angielska zwykła była do niedawna patrzeć na sprawy i dzieje Polski za pośrednictwem, przez okulary niejako, nauki niemieckiej.

(m. ost.)

ŚPIEWNIK KOŚCIELNY

X. Jan Siedlecki: ŚPIEWNIK KOŚCIELNY z melodiami na 2 głosy. Tom I zawiera pieśni na Adwent, Boże Narodzenie, Wielki Post, Wielkanoc, Wniebowstąpienie, Zielone Świątki, oraz pieśni okolicznościowe. „Veritas". Londyn, 1951. Str. 260. Cena 12/-.

Nakładem „Veritasu" ukazało się nowe, pierwsze na uchodźstwie, wydanie znanego śpiewnika kościelnego ks. Siedleckiego. Wydanie to jest przedrukiem z wydania jubileuszowego z r. 1928, dokonanego przez ks. W. Świerczka i B. Wallek-Walewskiego. Śpiewnik zawiera nie tylko teksty ale i nuty pieśni kościelnych.

O niezwykłym bogactwie polskich pieśni kościelnych świadczy już sama objętość śpiewnika. Tom pierwszy zawiera 282 pieśni. Znajdujemy w nim 59 kolęd polskich, 80 pieśni maryjnych, 40 pieśni na cześć Najświętszego Sakramentu. Z tej bogatej skarbnicy, jednej z bogatszych w świecie, jaką jest polska muzyka kościelna, kultura narodowa wciąż czerpie. Na obcej ziemi pieśń kościelna jest jednym z najbardziej podstawowych wiązadeł polskości. Ogromna rola, jaką pieśni religijne odegrały w zachowaniu polskości zarówno w kraju pod zaborami jak i na emigracji na obu półkulach, powinna doczekać się swego historyka.

Wydanie śpiewnika ks. Siedleckiego zapełnia wielką lukę, na jaką skarżyli się dotąd nie tylko kapelani polscy na emigracji ale i działacze społeczni i oświatowi. W tym tomie znajdą oni nuty Bogurodzicy i kolęd staropolskich tekstów i najpopularniejszych hymnów.

Bardzo potrzebne to wydawnictwo niewątpliwie osiągnie wielki zbyt.

PS. W przysłanym nam egzemplarzu recenzyjnym, wskutek niedopatrzenia brak stron 223 — 230. Nie

wątpimy, że wydawcy wymieniać będą takie egzemplarze, jeśli jest ich więcej, nabywcom bez dodatkowych kosztów.

KULT WNIEBOWZIĘCIA W POLSCE

Włodzimierz Dołęga: OBECNOŚĆ WNIEBOWZIĘCIA W POLSCE. Szkice z polskiej kultury religijnej. „Veritas". Londyn, 1951. Str. 160, 8 plansz. Cena 10/6.

Książka Włodzimierza Dołęgi, pod którym to pseudonimem pisze ktoś posiadający solidne wykształcenie teologiczne, nie miała dotąd szczęścia. Autor zaczął opracowywać temat w r. 1921, w rocznicę bitwy warszawskiej. Była wówczas dyskutowana w Polsce inicjatywa, by rząd polski wystąpił do Stolicy Apostolskiej o ustanowienie dogmatu Wniebowzięcia, podobnie jak rząd dawnej Rzeczypospolitej występował w XVIII wieku o ustanowienie święta Serca Jezusowego. Myśl ta nie została zrealizowana. Pozostał jednak memoriał ogłoszony następnie w miesięczniku „Pro Christo" w r. 1926. Egzemplarze memoriału były autorowi niedostępne i nie wiadomo czy istnieją gdziekolwiek, toteż gdy we Włoszech w r. 1946, na życzenie ks. bpa Gawliny przystąpił do pisania omawianej tu pracy, musiał wszystko zaczynać od nowa. Było to już trzecie dokonywane przezeń opracowanie: dwa poprzednie rękopisy zaginęły, jeden pod okupacją niemiecką, drugi pod sowiecką. Ta trzecia wersja miała być wydana przez Kurię Polową we Włoszech, ale likwidacja Drugiego Korpusu temu przeszkodziła. Nie zdołano jej także wydać rok temu w przededniu ogłoszenia dogmatu Wniebowzięcia. Dopiero obecnie mogła się ukazać.

Nie jest to jednak praca okolicznościowa i posiada wartość trwałą. Autor omawia kult Wniebowzięcia w Polsce od założenia katedry gnieźnieńskiej i powstania hymnu Bogurodzica aż do drugiej wojny światowej. Daje przegląd historii architektury, rzeźby, malarstwa, literatury pięknej, filozofii. Tekst składa się z dziewięciu rozdziałów, poprzedzonych słowem od wydawcy, przedmową i wstępem a uzupełnionych „dopowiedzeniami", „uwagami", „przedrukami" i „objaśnieniami". Starannie dobrane ilustracje przedstawiają arcydzieła malarstwa dające za temat Wniebowstąpienie, w tym fragmenty ołtarza mariackiego Wita Stwosza. Jest to praca oryginalna, miejscami nawet trudna dla nie mającego przygotowania teologicznego czytelnika, lekko zarysowanymi sugestiami sięgająca w najzrozmaitsze dziedziny życia. Wiele miejsca poświęcono uwagom o charakterze narodowym i roli narodów w planie Bożym.

Wskutek warunków, w jakich praca była napisana, mimo że tekst pełen jest szczegółowych informacji, brak powołań i spisu źródeł. Nadaje to całości bardziej okolicznościowy i przypadkowy charakter niż ona w rzeczywistości posiada.

Szkoda, swoją drogą, że wydawnictwo „Veritas", które jedyne w tej chwili na emigracji prowadzi stałą akcję wydawnictwa książek polskich i tym zyskuje sobie zasłużoną wdzięczność społeczeństwa, nie zdobyło się na wydanie tej książki na czas, to jest w roku ubiegłym.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

POLSKA TABLICA W UNIWERSYTECIE W LOUVAIN

Polonia latini et christiani humanitatis cultus filia fidelis — takie są pierwsze słowa aktu erekcyjnego tablicy pamiątkowej, jaką polscy studenci postanowili wmurować w Uniwersytecie Katolickim w Louvain jako znak swego przywiązania i wdzięczności dla starej Alma Mater. I dzień ten, 26 maja 1951 r., rozpoczęty mszą św., którą w odbudowanym z ruin ostatniej wojny kościele św. Michała śpiewał sam Rector Magnificus powinno się zapisać w uniwersyteckich kronikach jako dzień polskiej wdzięczności. O niej bowiem, tej wartości znanej tylko ludziom szlachetnym, po polsku serdecznej i po polsku trochę hardej mówiono w sali konferencyjnej Wydziału Prawa i Szkoły Nauk Politycznych, w której odbywał się uroczysty „seance academique" przed odsłonięciem tablicy.

Prezes Bratniej Pomocy Studentów Polskich w Louvain dr Jan Barański przypomniał w swym przemówieniu jakie to krzyżowe drogi wiodły polską młodzież wojenną poprzez obozy i pola bitew, nierzadko o głodzie i poniżeniu do luweńskiej wszechnicy. Studia Polaków w tym katolickim ośrodku nauki są naszym protestem przeciwko zalewającemu świat nowemu pogaństwu. P. Barański zakończył składając gorące podziękowania przede wszystkim rektorowi za jego wielką i prostą dobroć dla polskich studentów, następnie wicerektorowi oraz profesorowi Andrzejowi Luyckowi, opiekunowi i przyjacielowi Bratniej Pomocy, wreszcie tym wszystkim, których pomoc umożliwiła im studia.

Kolejno wchodzili na obramowaną sztandarami SPK i Harcerstwa katedrę ks. Karol Kubsz kierownik Polskiej Misji Katolickiej w Belgii, profesorowie uniwersytetu Luyck i De Smedt, prezes Polskiego Instytutu Naukowego, i na końcu Jego Magnificencja Rektor.

Mowy wygłaszane przy okazji odsłaniania tablic i innych podobnych okazjach są zwykle nietrwałe w ludzkiej pamięci. Przemówienie jednak Mgr. Van Waeyenbergha należało do tych, których się nie zapomina. „...Nie odwracajmy ról; to my jesteśmy wam wdzięczni. Nie zapominamy, że uczyniliście dla naszego kraju to, czego nie pozwolono wam uczynić dla Polski. ...Chociaż wiemy jak bolesna jest wasza rozłąka z rodzinami i krajem, to jednak widzimy w waszej obecności na Uniwersytecie dowód Bożej Opatrzności, która sprawiła, że mogliśmy okazać wam w ciężkiej chwili chrześcijańskie miłosierdzie..." Piękne, szlachetne słowa. I wielki ten Protonotariusz Apostolski, mówiący je do ludzi, których przed sześciu laty, nieznanych i obdartych, przyjął w zarządzaną przez siebie społeczność.

Polacy uzyskali w Louvain po wojnie 87 dyplomów, w tym pewną ilość szczególnie cennych, bo w dziedzinach „niepraktycznych", jak humanistyka, prawo, nauki polityczne i społeczne. Godny podziwu owoc stypendiów ofiafiarowanych studentom przez Żołnierza Polskiego. Ale niemały w tym udział Uniwersytetu. Wiele bowiem było osób i osobistości, które z urzędu czy „z tytułu" zajmowały się tzw. zagadnieniem młodzieży akademickiej. Wszyscy oni jednak: urzędnicy różnych resortów i szczebli, energiczni działacze i nieuniknieni podpułkownicy nie byliby w stanie zastąpić owej bezinteresownej życzliwości, wyciągniętej z pomocą profesorskiej ręki, tego wreszcie niezbędnego nauce spokoju, jaki ta skołatana i nie tak już

bardzo młoda młodzież tu dopiero znalazła.

Uniwersytet zatrudnia dziś kilku Polaków jako asystentów. Kilkunastu innych kończy jeszcze studia. Tych jednak, którzy nie tylko pracą ściśle naukową i nie tylko wspomnieniami czują się z nim związani jest o wiele więcej. Oprócz prostej kamiennej tablicy z łacińskim tekstem pozostanie tym murom wierność rozproszonych po świecie polskich luweńczyków, a także pamięć tych wszystkich, którym w trudnej drodze zdarzyło się przystanąć we flamandzkim mieście mnichów, gdzie carillon z Biblioteki uniwersyteckiej wygrywa wieczorem sygnały minionych epok.

O tym właśnie, a także o dalekiej Polsce, o przeżyciach i nadziejach mówiono jeszcze przy winie, na które Rektor i Bratnia Pomoc zaprosili przybyłych na uroczystość gości do bardzo starej i bardzo „jagiellońskiej" w nastroju Hali Sukiennej, ofiarowanej Uniwersytetowi Katolickiemu na pierwsze locum przez dobre miasto Louvain w roku pańskim 1432.

M.C.

U GROBU ŚP. J. MATYASIKA

W niedzielę, 3 bm. Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało doroczną pielgrzymkę na historyczny cmentarz polski w Montmorency. Tradycja tych pielgrzymek jest bardzo dawna i nie uległa przerwie nawet pod okupacją niemiecką. Na cmentarzu jest kilkaset grobów polskich, poczynając od wielkiej emigracji. Spoczywają m.in. Niemcewicz, i gen. Kniaziewicz, jest tu grób rodziny Mickiewicza, C. Norwida, Delfiny Potockiej. Na murze cmentarnym wmurowano niedawno trzy tablice ku czci pamięci żołnierzy polskich, poległych we Francji w czasie ubiegłej wojny: 1 Dywizji Grenadierów, 2 Dywizji Strzelców Pieszych i POWN.

Pielgrzymka tegoroczna w liczbie kilkuset osób, przybyłych z Paryża ze sztandarami i grupą dzieci w strojach krakowskich, udała się najpierw do kościoła w Montmorency, gdzie nabożeństwo odprawił ks. Gałęzewski, a kazanie po francusku i polsku wygłosił ks. Levèque. Kaznodzieja m.in przeczytał tłumaczenie na francuski pełnego tekstu hymnu „Boże coś Polskę".

Następnie pielgrzymka udała się pochodem na cmentarz, gdzie hymn ten po polsku odśpiewano nad grobami Niemcewicza i Kniaziewicza. Po obejściu innych grobów zasłużonych Polaków obecni zgromadzili się wokół świeżo postawionego nagrobka śp. redaktora Jana Matyasika (zmarłego 24. 12. 1949 r.). Nagrobek ufundowany został ze składek członków i sympatyków Stronnictwa Narodowego oraz przyjaciół Zmarłego. Modlitwy nad grobem odmówił ks. Gałęzewski. Byli obecni: amb. Morawski, min. Kawałkowski, rad. Biesiekierski, prof. Zaleski, prezes ZPUW p. Olszewski, delegat Syndykatu Dziennikarzy p. Nowosad, przedstawiciele SPK płk Kosior, mjr Jurkiewicz i kpt. Chowaniec, wiceprezes Związku Inwalidów Wojennych mjr Jełowicki, z ramienia CWW Stronnictwa Narodowego p. Dargas, liczne grono członków SN z Paryża z mec. Gajewiczem, płk Owocem, płk Rokickim, p. Łuckim i wielu innych. Był również obecny brat śp. Zmarłego p. Piotr Matyasik, przybyły z St. Quentin.

Na płycie nagrobka wyryto napis:

„Śp. Jan Matyasik (1887 — 1949) redaktor krakowskiego „Głosu Narodu", lwowskiego „Słowa Narodowego" i swojej „Placówki" w Paryżu, oficer WP, murmańczyk, więzień polityczny. Walczył niezłomnie o Polskę narodową i katolicką, wierzył, kochał, trwał".

Na przedniej części płyty widnieje na białym marmurze cytat z „Księdza Marka":

„Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
I szedł na święte kraju werbowanie,
Ten de profundis z ciemnego kurhanu
Na trąbę wstanie.

Juliusz Słowacki".

Na grobie red. Matyasika złożono wiele kwiatów.

ZJAZD SODALICJI MARIAŃSKICH

Zjazd Sodalicji Mariańskich z Wielkiej Brytanii obradował w Londynie w dn. 13 i 14 maja, gromadząc ponad 500 uczestników, głównie młodzież szkolną. Zjazd odbywał się pod hasłem: „Sodalicja szkołą charakteru i zaprawą do katolickiego czynu". W ciągu trzech zebrań plenarnych wygłoszono referaty na temat: „Sodalicja szkołą charakteru i zaprawą do czynu" (p. Szymański), „Sodalicje czynne dziś, jak i w przeszłości" (p. Tchórzewski), „Sodalicje w świetle ich własnych sprawozdań" (p. Skórzewska), „Plusy i minusy życia sodalicyjnego na uchodźstwie" (o. Kołodziejczyk) i „Rola sekcji w pracy sodalicyjnej" (ks. Przybysz). W pierwszym dniu zjazdu odbyła się uroczysta akademia ku czci Wniebowzięcia NMP. Zjazd uchwalił szereg rezolucji dotyczących pogłębienia i uaktywnienia życia sodalicyjnego.

FUNDUSZ INWALIDZKI KOŁA AK

Z inicjatywy Rady Naczelnej Koła AK, której przewodniczącym jest gen. T. Bór-Komorowski, powołany został do życia Fundusz Inwalidzki Koła AK. Do Zarządu Funduszu wybrani zostali: przewodniczący — T. Grzeszczyński, zastępcy P. Hęciak i M. Mostowicz, sekretarz — J. Białecka, skarbnik — I. Wierzbicki, członkowie A. Gebethner, M. Mandziara, H. Szpaczyńska i L. Zajączkowski.

Celem Funduszu jest przyjście z pomocą tym b. żołnierzom Armii Krajowej, którzy stracili w służbie dla kraju zdrowie albo też nie są w stanie w chwili obecnej pracować na skutek ran i kontuzji na własne utrzymanie. Takich żołnierzy, pozbawionych rent i innej pomocy, jest spora gromada i to głównie na terenie Niemiec Zachodnich. To nie oni wobec nas a my wobec nich zaciągnęliśmy dług. Naszym przeto obowiązkiem jest dług ten spłacić. Apelujemy przeto gorąco o składanie ofiar. Pieniądze należy wpłacać na konto bankowe: The Funds of the Polish Home Army Disabled Ex-Servicemen do: Lloyds Bank Limited, Knightsbridge Branch, 16/18, Brompton Road, London, S. W. 1. Paczki (głównie żywnościowe) prosimy przesyłać do sekretariatu Koła AK (18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7) na adres: Fundusz Inwalidzki Koła AK.

„MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol.

Printed for „Myśl Polska" by „Veritas Foundation Press", 12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD 9734. June 15 1951